ŻYCIE

ROK XI — NR 41 (538) NIEDZIELA, 13 PAŹDZIERNIKA 1957 R. CENA 1/6



Zaczęły się już dni jesienne...

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

ROK XI NR 41(538)

Niedziela, 13 października 1957 r.

Wydaje:

KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY „VERITAS", — 12 Praed Mews, London, W.2.
Telefony: AMBassador 6879; PADdington 9734

Redakcja: Godziny przyjęć codziennie z wyj. sobót, niedziel i świąt g. 3-4 pp. Redakcja Rękopisów nie zwraca.

Administracja: Czynna codziennie od 9-12 i 2-5 z wyj. sobót, niedziel i świąt.

Prenumerata (płatna z góry): miesięcznie: szyl 6/6, dol. 1.10, fr. fr. 330; kwartalnie: szyl. 19/6, dol. 3.00, fr. fr. 975; półrocznie: s. 39/-, dol. 6.00, fr. fr.1.950.

Wpłaty: a) **w krajach bloku szterlingowego:** Postal lub Money Orderami lub czekami bankowymi „crossed" (//); b) **w krajach bloku dolarowego:** International Money Orderami lub zwykłym przekazem jakiegokolwiek banku amerykańskiego; c) **we wszystkich innych krajach:** do miejscowego przedstawiciela naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym wprost do Administracji ŻYCIA. Zmiana adresu: szyl. 1/-, płatne równocześnie z zawiadomieniem.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez 1 łam — £ 1, dol. 3.00, fr.fr. 1000. Kolor. 100% drożej.

PRZEDSTAWICIELSTWA: Argentyna: „Libreria Polaca", Serrano 2076, piso I, Buenos Aires. **Australia: „Społem"**, 64 Tapley's Hill Rd., Royal Park, Adelaide, S.A.; **R. Treister,** 138 Burton St., Darlinghurst, N.S.W. **Belgia: Mme E. Kułakowska,** 1, Avenue Tedesco, Bruxelles. Pren. kwart. 130 frs. **Brazylia: Książnica Polska,** Caixa Postal 5201, Rio de Janeiro; **ks. dr Antoni Łatka,** Praça Cel. Fernando Prestes No. 233. Sao Paulo. **Dania: Ks. O. J. Szymaszek,** Skt. Annae Kirke, Hans Bogbinders Alle 2, Kobenhavn S. **Francja: Ks. K. Stolarck,** 29 Av. du Gen. Leclerc, La Ferté-sous-Jouarre, (S. et M.), CC 5 603 40. **Holandia: B. Galas,** Fagelstraat 15A, Breda. **Kanada: Canadian Mosaic Publishers,** Suite E, 4118 Western Av., Montreal 6; **International Book Service,** 57 Queen St. W., Toronto. **Niemcy: St. Mikiciuk,** Gablonzerstr. 7/I, (13b) München 45. Pren. kwart. 10 MD. **Norwegia: B. Łubiński,** Kongesgat 2, Moss. **Stany Zjedn.: „Gryf Publication"**, 296 Sheridan Av., Albany, N.Y.; **M. Kijowski,** 380 North Av., Dunellen, N.J.; **„Pomoc" — Eksport-Import,** 761 Filmore Ave., Buffalo 12, N. Y.; **S. J. Rozmysłowicz,** 5718 St. Lawrence, Detroit 10, Mich.; **Mme J. Stojanowska,** 424 Ave. „E", Bayonne, N. J.; **Veritas Americana,** 134-09 Cherry Ave., Apt. 3B, Flushing 55. N.Y. **Szwajcaria: Mme B. Gierszewska,** Wallisellenstr. 483, Zurich, konto pocztowe: Zurich VIII 50734. Pren. kwart. 9.00 fr. **Szwecja: Mgr. B. Z. Kurowski,** Lund, Revingegatan 13B. Pren. kwart. 14.25 krs. **Włochy: Mme Bułhak-Jelska,** via Salaria 300 C. Roma.

LISTY DO REDAKCJI

W ZWIĄZKU Z ARTYKUŁEM „SON ET LUMIÈRE"

Szanowny Panie Redaktorze!

Wdzięczni jesteśmy Autorowi za podanie historii tej nowej sztuki. Rzeczywiście nadaje się ona bardzo do głębokiego przeżywania ważnych zdarzeń i okresów przeszłości, związanych z jakimś miejscem, z jakimś architektonicznym dokumentem.

Szkoda, że Autor nie wspomniał nawet o pewnej ważnej a bardzo udanej realizacji tej sztuki mianowicie o „Mystére d'Avignon" (tak to nazywam, choć dokładnej nazwy już sobie nie przypominam). Jest to przedstawienie za pomocą światła i słowa epoki awiniońskiej w historii Kościoła i Europy. Jest to temat par excellence nadający się do tej sztuki zarówno ze względu na treść ważną i poważną, jak ze względu na sam dokument czasu po dziś dzień dobrze zachowany, a w owym czasie będący centrum historycznych zdarzeń. Opracowanie tego tematu jest prawdziwym arcydziełem zarówno pod względem świetlnym jak i słownym. Jest to widowisko godne widzenia i polecam je każdemu, kto latem ma możność pojechać do Avinionu lub tamtędy przejeżdżać. Przeoczenie takiej okazji byłoby prawdziwą stratą. Jak to widowisko jest cenione, świadczy wielka ilość widzów na placu przed zamkiem papieskim każdego letniego wieczoru, kiedy tylko to widowisko ma miejsce.

Proszę łaskawie przyjąć tych parę słów jako niezbędne uzupełnienie do wyżej wymienionego artykułu.

S. B.

P.S. Przypuszczam, że cenny tekst tego przedstawienia można otrzymać i pocztą, zwróciwszy się listownie do biura turystycznego w Avinionie (Bureau du Tourisme, Avignon).

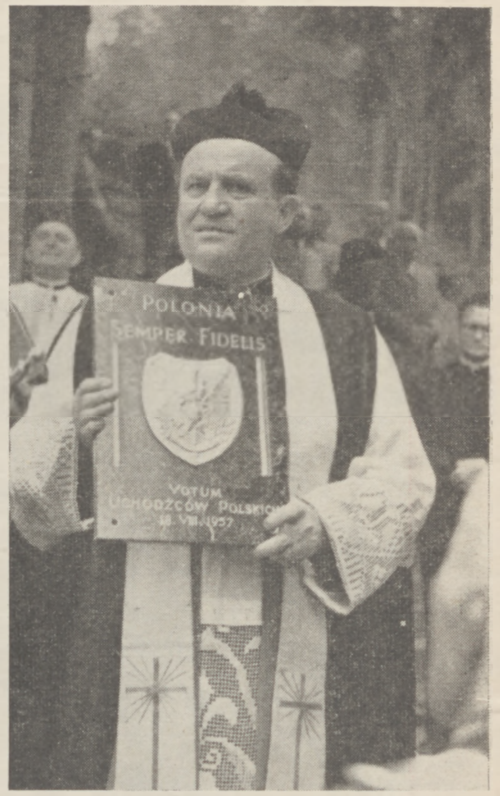
KRONIKA

WOTUM UCHODŹCÓW POLSKICH W NIEMCZECH

Polscy uchodźcy polscy w Niemczech zachodnich rok rocznie odbywają tradycyjne pielgrzymki Maryjne do świątyń, poświęconych czci Matki Zbawiciela.

W ramach pielgrzymki do świątyni z cudownym wizerunkiem Matki Boskiej w Maria Buchen we Frakonii, zorganizowanej przez duszpasterza Polaków we Frankonii i Hessji, ks. prob. Piotra Wawrzyniaka i komitetu pod przewodnictwem prezesa ZPU p. Kaweckiego, odbyła się podniosła uroczystość poświęcenia i wmurowania wotum uchodźców polskich. Aktu tego dokonał wikariusz generalny Polonii w Niemczech ks. prałat Edward Lubowiecki w asyście innych księży.

Na zdjęciu: ks. kanonik Juliusz Janusz, dziekan polskich Oddziałów Wartowniczych stoi z marmurową tablicą wotywną, na której widać napis: „Polonia semper fidelis" oraz przytwierdzony do niej ryngraf z wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej i Orłem Białym.



UROCZYSTOŚĆ WRĘCZENIA NAGRÓD

W Domu Kombatanta odbyło się w niedzielę, dnia 22 września br. o godz. 5 po południu w sali klubowej wręczenie nagród pisarskich SPK, przyznanych za dwa ostatnie lata. A mianowicie: za rok 1956 prof. dr. F. Znanieckiemu, za pracę „Culture and Science", a także całość pracy naukowej; prof. dr. T. Komarnickiemu za pracę „The Rebirth of Polish Republic"; dr. Krystynie Marek za pracę „Identity and Continuity of States in Public International Law". Za rok 1957 prof. o. I. M. Bocheńskiemu za prace „Die Europäische Philosophie der Gegenwart" i „Précis du Logique Mathématique" oraz za całokształt dorobku naukowego; W. Zagórskiemu za książkę „Wicher wolności".

L.

WIECZÓR AUTORSKI JERZEGO MIECZYSŁAWA RYTARDA

Ilość przybyłych z Polski pisarzy, których mieliśmy przyjemność powitać w Londynie i słyszeć w czasie ich wieczorów autorskich, urządzanych przez Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie, powiększył ostatnio Jerzy Mieczysław Rytard.

Nazwisko Rytarda, jako jednego z wybitniejszych pisarzy polskich, związane jest ściśle z okresem przemian w naszej poezji, jakie dokonały się w latach po pierwszej wojnie światowej. Dwie grupy poetyckie wystąpiły wtedy na arenę polskiego życia literackiego. Futuryści, którzy posiadali wypracowany program estetyczny i skamandryci, którzy go nie posiadali. Rytard jest jednym z pierwszych naszych awangardzistów — wszak wielki Karol Irzykowski trafnie choć złośliwie nazywa czas naszej pierwszej awangardy „epoką Rytarda". Rytard, choć sam skamandrytą nie był, drukował i to obficie w „Skamandrze" i opinia go stąd mylnie zalicza do skamandrytów.

Na wierszach Jerzego Mieczysława Rytarda laboratoryjnie widać, stwierdza Tadeusz Sułkowski, jak nowa sztuka (myślimy tu o przemianach w poezji polskiej po pierwszej wojnie światowej) odwracała się od dawnej. Wiersze te posiadają równowagę formalną, która je ocaliła. Zachowały swą wagę po dzisiejszy dzień, mimo upływu wielu lat od ich napisania.

Skamandryci to nie żadne baranki, ostro zwalczali swych przeciwników poetyckich i dobrze to świadczy o Rytardzie, że drukowali go w swym organie. Poza tym Rytard drukował w „Wiadomościach Literackich" również bliskich skamandrytom.

Dzięki swoim wierszom, powieściom i dramatom, Rytard zajął pewną uznaną pozycję w naszej literaturze dwudziestolecia. Okres powojenny, po roku 1945, pozycji tej nie mógł zmniejszyć, ale usunął w cień autora. Okres stalinowski to okres milczenia Rytarda jako twórcy. Był prześladowany i przemilczany.

Październik zmienił sytuację radykalnie. Rytard znowu pisze i wydaje, ma nawet możność przyjechać do Londynu, gdzie urządził wieczór, staraniem Związku Pisarzy, w sali Instytutu Historycznego im. gen. Sikorskiego.

Pisarz przyjechał z matką swą aktorką, Izą Kozłowską, która czytała na przemian z autorem jego utwory poetyckie i prozę.

Imieniem ZASP-u słowo powitalne wygłosiła Kora-Brzezińska a w imieniu Związku Pisarzy przywitał Tadeusz Sułkowski.

Piękno słowa poety zostało uwydatnione w czytaniu Izy Kozłowskiej. Część swych rzeczy czytał Rytard sam, szkodząc tym swoim utworom. To zjawisko słabego czytania własnych utworów nieraz mieliśmy możność zaobserwować na wieczorach literackich. Apel do autorów: Nie czytajcie sami! Chyba, że czytacie znakomicie.

Rytard dał rozmaitość: wiersze, fragment powieści, wyjątki z książki o przyjacielu, prekursorze wielu zjawisk kulturalnych, Stanisławie Ignacym Witkiewiczu, który w niektórych pomysłach malarskich wyprzedził o ćwierćwiecze Picassa. Wieczór był dobrze wyważony a opiekował się nim T. Sułkowski, który wygłosił również słowo wstępne.

Stefan Legeżyński

DOŻYNKI

Pięknie i po prostu imponująco wypadł w tym roku obchód polskich dożynek w Londynie, urządzony w szklanym pałacu Festival Hallu staraniem Związku Rolników Polskich w Wielkiej Brytanii. W pełnej zapału pracy poświęconej przygotowaniu tej tradycyjnej imprezy brał udział pokaźny zespół ludzi i im wszystkim razem, z prezesem koła londyńskiego, inż. Woronowiczem na czele, należy się uznanie, tak to świetnie wszystko wypadło. I śpiewy i tańce i okolicznościowe przemówienia.

Zaczęło się od obrzędu — widowiska z tradycyjnymi przyśpiewkami pióra znanego poety Ryszarda Kiersnowskiego, zakończono wieczór zabawą taneczną, która przeciągnęła się do rana. Starostą w orszaku dożynkowym był artysta dramatyczny Zygmunt Rewkowski, przodownicą zaś I. Bałandowa.

PUNKTY WIDZENIA

Po prostu najgłębsze nieporozumienie

Artykuł niniejszy piszę w poniedziałek, 7 października. Od kilku dni na frontowych stronach prasy światowej pojawiają się doniesienia o wypadkach w Polsce. Świat zachodni śledzi te doniesienia z natężoną uwagą, jako symptomy procesów przemiany w bloku komunistycznym, Polacy rozsiani po świecie z głęboką troską i obawą, aby te demonstracje w Warszawie, nie przerodziły się w groźne zdarzenia zamieszek.

Komunistyczne czynniki rządowe w Polsce uniemożliwiły dalsze ukazywanie się „Po prostu", tygodnika studentów i młodej inteligencji w Polsce, który w dziejach polskiej odwilży odegrał bardzo wybitną rolę i w ubiegłym październiku wydatnie pomógł grupie Gomułki w dojściu do władzy. Zespół „Po prostu" jest zespołem młodych komunistów, którym się pali w głowach i którzy niechętnie godzą się obecnie na nową formę ortodoksji partyjnej, ale chcą dalszych reform, odrzucenia sztywnych dogmatów, wołają o kryteria merytoryczne i rzeczowe. Ponieważ partia uważa, iż w tej chwili jest właśnie czas na usztywnienie taktyki, dano „Po prostu" do wyboru: albo podporządkuje się linii partii, albo przestanie wychodzić.

Zespół „Po prostu" odrzucił pierwszą ewentualność, wobec czego tygodnik zamknięto. Ale „Po prostu" stało się od października zeszłego roku pewnego rodzaju symbolem, symbolem zmian i nadziei. Na ulicę wyszli studenci, aby protestować przeciwko zamknięciu pisma. I znowu milicja komunistyczna, jakkolwiek już przecież nie „bezpieka", pokazała, co umie nawet po październiku: kilkaset osób aresztowano, studentów ostro pobito, zastosowano wobec nich brutalne i okrutne metody, które wzburzyły całą Warszawę. W następnych dniach na ulice wychodzili bez przerwy demonstranci. Coraz mniej było wśród nich studentów, coraz więcej innego żywiołu ludzkiego: przedstawiciele różnych warstw społecznych domagających się dalszych zmian i pewna ilość mętów społecznych, korzystających z każdej okazji do uczestniczenia w awanturach. Policja w dalszym ciągu stosowała karygodne metody.

Stosunek Polaków mieszkających na emigracji do tych wydarzeń jest zupełnie prosty, da się streścić w trzech stwierdzeniach: decyzja komunistycznych czynników rządzących — w stosunku do „Po prostu" była błędna; interes polski wymaga powstrzymania się w chwili obecnej od wszelkiego rodzaju zaburzeń i zamieszek, i po trzecie, zachowanie się policji reżymu Gomułki było błędem zasadniczym.

W ocenie tych spraw gra rolę podstawową przede wszystkim stwierdzenie pierwsze: błędna decyzja w sprawie „Po prostu". Ta stosunkowo drobna sprawa jest wyrazem rzeczy bardzo zasadniczej, która od roku gra główną rolę w popaździernikowej rzeczywistości polskiej, ale która nie stanęła dotąd w całej swej wyrazistości ani przed społeczeństwem w Kraju, ani przed społeczeństwem emigracyjnym. Dziś w perspektywie roku zaczyna się rysować coraz jaśniej, a sprawa „Po prostu" jest pierwszym konkretnym wypadkiem, który się demonstruje w całej pełni.

Gomułka miał w społeczeństwie polskim olbrzymią popularność. Ma ją w znacznym stopniu jeszcze i teraz, zwłaszcza u pokolenia starszego, które wie, że polityczny kredyt w takich warunkach musi być długi i cierpliwy. Ale w masach polskich popularność jego zaczyna szybko topnieć. Są już takie masowe zebrania robotnicze, na których zebrani wołają „Precz z Gomułką". Zaprzysiężeni zwolennicy Gomułki dowodzą żarliwie, że to Natolin organizuje te nastroje niezadowolenia. Być może, że dochodzi tu do głosu i prowokacja. Ale to jest nie tylko to.

Gomułka wzywa ludność do podporządkowania się wymogom prowadzonej przez niego polityki. Jeśli te wezwania dotyczą rozsądnej powściągliwości w stosunku do sąsiedztwa sowieckiego, apele są rozumiane i odnoszą skutek. Ale wśród wezwań, kierowanych przez Gomułkę, pojawiają się coraz częściej wezwania podporządkowywania się założeniom doktrynalnym. Coraz ostrzej naginane jest społeczeństwo do założeń „polskiej drogi do socjalizmu", jako do systemu, który ma przynieść poprawę tragicznego położenia gospodarczego. Przez wiele miesięcy myślano, że hasło „polskiej drogi do socjalizmu" jest tylko rzutem planu ramowego, w którym zmieszczą się wszystkie rozsądne, słuszne i konieczne reformy. Po roku zaczyna okazywać się coraz wyraźniej, że ten „socjalizm" grupy Gomułki jest sztywną receptą doktrynalną, która drastycznie ma być wdrażana w życie polskie jako nowa próba udoskonalonego komunizmu. I te apele, te wezwania popularnego komunisty, budzą już wyraźny sprzeciw.

Czas dał odpowiedź na pytanie, które od roku było z taką niecierpliwością zadawane: kim jest Gomułka, czym jest jego zespół? Ubiegły rok nie zaprzeczył ani jego dobrym intencjom, ani dodatnim cechom jego charakteru, ani jego patriotyzmowi, ustalił wszakże, iż Gomułka jest doktrynerem, upatrującym w systemie komunistycznym (oczywiście, poprawionym i udoskonalonym) zbawienie Polski i świata. W tym punkcie rozpoczyna się i rozwiera najgłębsze nieporozumienie pomiędzy społeczeństwem polskim a jego obecnymi rządcami. Jest nieprawdą, że społeczeństwo polskie pozbawione jest cierpliwości i nie wie, że na poprawienie stosunków gospodarczych trzeba zaczekać kilka lat. Że niezdolne jest do dalszego wysiłku i dyscypliny. Prawdą natomiast jest, że traci cierpliwość, gdy widzi stosowanie metod, które z góry skazane są na niepowodzenie.

Sprawa „Po prostu" jest jedynie drobnym przyczynkiem tego stanu rzeczy. Człowiek w Polsce nie może zrozumieć, dlaczego zamyka się pismo, które demaskuje ujemne strony życia gospodarczego i organizacyjnego w dążeniu do ich usunięcia. W imię posłuszeństwa dla partii? Ale rzecz idzie nie o partię, tylko o dobro społeczeństwa, o dobro Kraju! Jeśli działalność „Po prostu" była korzystna dla Kraju, to partia powinna była ustąpić tej ważniejszej przesłance.

Nie chcemy żadnych zamieszek i zaburzeń w Polsce, ale równocześnie pełni jesteśmy trwogi przed sztywnym, nieustępliwym doktrynerstwem.

J. K.

Brało w nim poza tym udział kilka zespołów tanecznych: im. Oskara Kolberga przy kole SPK nr 11/ŚW, w Slough, zespół polskiej YMCA, a także „Opoczno" i zespół węgierski, ponadto kapela ludowa Leszka Kwietniowskiego. Wieńce, wręczone przez „żniwiarzy" najbardziej dostojnym gościom, były pomysłowe, barwne, prześliczne, jeden od drugiego ładniejszy, tak że nawet nie wiadomo któremu dać pierwszeństwo. Trzeba zatem podać wszystkich wykonawców: J. Gmerek z South Littleton wykonał wieniec dla gen. Andersa, K. Walterowa z Kent — dla ks. infułata Michalskiego, S. Trawnicki z Leeds — dla gen. Bora Komorowskiego, Sawicki ze Slough (Bucks) — dla dr. K. Krzeczunowicza i wreszcie wieniec będący dziełem rąk B. Zielińskiego z Devonu — dostał główny organizator imprezy inż. L. Woronowicz.

Występy taneczne poszczególnych zespołów zapoczątkowały zabawę a następnie ponawiane były w czasie jej trwania; trzy orkiestry grały nie tylko z polskim iście temperamentem, ale i węgierskim chyba ogniem, i jakże pięknie i swojsko brzmiał żniwiarski przyśpiew „Plon niesiemy plon" w tej obcej londyńskiej sali. Trzeba przyznać, że dekoracje J. Smosarskiego przyczyniły się także do uświetnienia zabawy, a kierownictwo i układ muzyczny Gedla były w każdym punkcie godne pochwały.

Tancerze zespołowi huczne zebrali brawa. Trudno powiedzieć, które tańce (choreografia Olgi Żeromskiej) bardziej się podobały: czy „krakowiak" zespołu „Opoczno", czy też krakowiak „Naroczy", czy oberek — tancerzy z Manchesteru, czy olender i mazur kolbergowców, czy też czardasz przez prawdziwych Węgrów wykonany.

S. L.

KOMUNIKATY

DZIEŃ SKUPIENIA 20 PAŹDZIERNIKA

W niedzielę 20 października bież. roku P.K.S.U. „Veritas" urządza dzień skupienia w domu sióstr Virgo Fidelis, 189 Old Brompton Road, S. W. 10, pod kierunkiem o. K. Van Oosta, OSB.

Program dnia skupienia przewiduje: godz. 9.15 — Msza św., godz. 10 — wspólne śniadanie, godz. 11 — konferencje, godz. 1 — lunch, godz. 3 — konferencja, godz. 4 — podwieczorek, godz. 4.30 — zakończenie i błogosławieństwo Najśw. Sakramentem.

Koszt udziału: wpisowe 2/6 i koszty rzeczowe 5/-.

Zgłoszenia do czwartku 17 bm. przyjmuje Sekretariat Generalny Veritasu, 21 Earls Court Square, S.W.5, tel. FREmantle 2551 w dni powszednie od 9 do 1. Prosimy o uprzednie zgłoszenia i nie przybywanie bez zgłoszenia wprost do klasztoru.

KACETOWCY — UWAGA

Zarząd Związku b. Więźniów Politycznych Niemieckich Więzień i Obozów Koncentracyjnych zawiadamia, że termin zgłaszania wniosków do władz niemieckich o odszkodowania — ponownie został przedłużony do 1. 4. 1958. Pretensje b. więźniów Oświęcimia do I. G. Farbenindustrie za pracę przymusową na „Bunie" — winny być zgłoszone do 31. 12. bież. roku. Komisja prawnicza przy zarządzie Związku udziela nadal wszelkich wyjaśnień prawnych. Dyżury zarządu Związku w Domu SPK, 18 Queens Gate Terrace, London, S.W.7, w czwartki godz. 6-7 wieczorem, pokój nr 10.

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNO - KULTURALNY

ROK XI — NR 41 (538) LONDYN, NIEDZIELA, 13 PAŹDZIERNIKA 1957



SWATOWSKI — Legia — Warszawa — rekordzista Polski w biegu na 400 metrów, jest jednym z czołowych biegaczy Europy. Ostatnio, w Londynie na White City wygrał bieg 400 metrów w meczu lekkoatletycznym z Anglią, zdobywając dla Polski 5 punktów.

W BIEŻĄCYM NUMERZE:

ŻYCIE KRAJU

O WŁASNY WARSZTAT PRACY

Śledzimy z zainteresowaniem wszelkie próby podejmowane w kierunku odbudowy polskiego rzemiosła. W artykule poświęconym już temu zagadnieniu (ŻYCIE nr 27/524) wysunęliśmy przypuszczenie, iż w wypadku usunięcia przeszkód natury prawnej i faktycznej — można obliczać, iż 100 tysięcy rzemieślników w Polsce będzie mogło uruchomić swoje prywatne warsztaty, w których zatrudnić też można będzie pokaźną ilość młodzieży w wieku lat 14-16, nie znajdującej teraz żadnej pracy po ukończeniu szkoły podstawowej. Okazuje się, że obliczaliśmy za skromnie, że jest już grubo ponad 137 tysięcy rzemieślników i że przewiduje się co najmniej 180 tysięcy przed końcem bież. roku. Wynika z tego, że rzemieślnicy polscy energicznie przystępują do odbudowy swoich warsztatów i że wbrew wszelkim trudnościom nie myślą skwitować z nadziei uruchomienia ich. Ze szpalt „Tygodnika Demokratycznego" dowiadujemy się, że starają się oni przede wszystkim o restytuowanie Izb Rzemieślniczych, które dałyby im dopiero pełną prawną podstawę do kształcenia uczniów, co zapewniłoby przyszły rozwój rzemiosła w oparciu o dawne, tradycyjnie solidne podstawy.

To samo pismo podaje także ciekawe dane o trudnościach, które hamują rozpoczęte starania i prace. Więc na pierwszym miejscu stoi oczywiście niedostateczny przydział surowca. Rzemieślnicy palą się do pracy w swoim własnym warsztacie, chcą do niej wrócić kosztem choćby i pewnych poświęceń i zaciskania na razie pasa, ale cóż — niewiele mogą zwojować, gdy nie dostają najniezbędniejszych surowców, albo dostają je w tak niedostatecznych ilościach, że daleko z tym nikt nie zajedzie. Podamy tutaj za „Tygodnikiem Demokratycznym" tabele przydzielonego rzemiosłu surowca w I kwartale roku ubiegłego i w tymże kwartale roku bieżącego. Z tabeli tych wynika, że przydział zamiast zwiększyć się — uległ poważnemu zmniejszeniu:

	I-szy kwartał	
	1956	1957
Wapno (ton)	2.212	650
Cegła (ton)	5.165	4.000
Papa smołowcowa (m kw.)	310	280
Koks (ton)	25.409	17.000
Węgiel (ton)	26.315	18.000
Skóra podeszwowa (kg.)	441.318	268.400

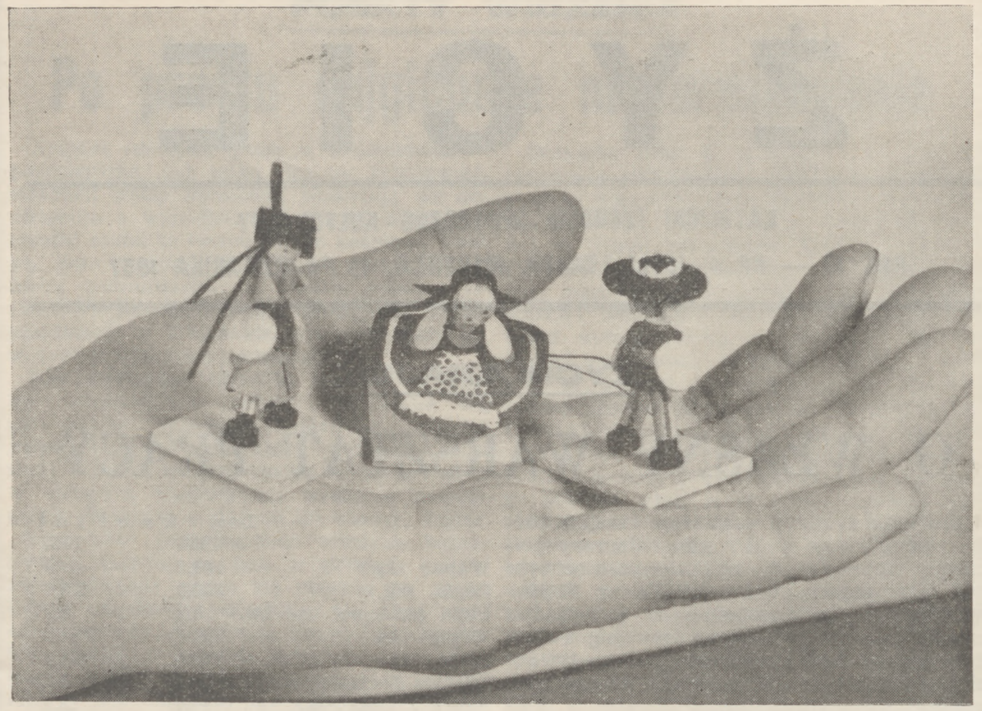
Przeliczone na jednego rzemieślnika, czyli na 1 warsztat, przydziały te wynosiły:

	I-szy kwartał	
	1956	1957
Wapno (kg.)	164,9	41,9
Cegła (kg.)	383,0	255,0
Papa smołowc. (m. kw.)	0,2	0,17
Węgiel (kg.)	751,0	483,0
Koks (kg.)	725,4	456,1
Tarcica liściasta (m^3)	0,17	0,13
Skóra podeszwowa (kg.)	17,7	12,3

Zrzeszenia rzemieślnicze skarżą się, że również i przy przydziale innych materiałów nastąpiło poważne obniżenie kwot. Tak np. w okręgu koszalińskim rzemiosło otrzymało tylko jedną dziesiątą część zeszłorocznego przydziału drzewa; niedostateczne są również przydziały paliwa i skór. W okręgu gdańskim przydziały niektórych metali, potrzebnych do produkcji specjalistycznej są niedostateczne, zaś w okręgu bydgoskim rzemieślnicy nie mogą otrzymać stali szlachetnej do produkcji przyrządów precyzyjnych, sprowadzanych dotychczas z zagranicy.

I trudne i niebezpieczne. Wielu rzemieślników założyło warsztaty nie przewidując aż takich trudności w przydziałach, wskutek czego znaleźli się niejednokrotnie w trudnej sytuacji — często wręcz tragicznej. Włożyli w swoje warsztaty jakie mieli oszczędności, postarali się o pożyczkę, a dziś zmuszeni są kupować surowce na wolnym rynku po znacznie wyższych cenach, co w znacznym stopniu podraża koszty produkcji i naraża ich na niebezpieczeństwo surowych kar przewidzianych w nowej ustawie antyspekulacyjnej. Mogą w ten sposób ani się obejrzawszy utracić wszystko, co włożyli w urządzenie warsztatu i na końcu powędrować do więzienia za uprawianie spekulacji czarnorynkowych.

W Kraju obowiązują dziś jeszcze przepisy, że pierwszeństwo do zakupu maszyn, wycofanych z użytku z przemysłu uspołecznionego, mają pracownicy tego właśnie zakładu. Są to przepisy wyraźnie nonsensowne, ponieważ pracownik tego zakładu zatrzymuje nadal swoje zatrudnienie w zakładzie, a maszyny kupuje wyraźnie tylko w tym celu, by je odsprzedać na wolnym rynku. Ostatecznie, te maszyny trafiają do rąk rzemieślnika, jednak po cenach bezprzykładnie wygórowanych. A zatem tymi nonsensownymi przepisami obecny rząd zalegalizował handel czarnego rynku maszynami. Nie należy przy tym zapominać, że pracownik zakładu, który nabył maszynę, próbuje za wszelką cenę odsprzedać ją w stanie użytecznym. Brakujące części może dorobić tylko w swoim zakładzie pracy, co znowu pociąga za sobą nieuczciwość.



OKAZY ARTYSTYCZNEGO RĘKODZIELNICTWA W POLSCE, wykonane przez Annę Narzymską z Kielc

Zysk z tych tranzakcji wpływa do kieszeni pracowników zakładów przemysłowych, zaś rzemieślnika, który usiłuje dohic się własnego warsztatu pracy, by w nim uczciwie zarabiać na życie swoje i rodziny, zwala się z nóg przy każdej okazji i każdym z tych zarządzeń i to zanim zdążył w ogóle rozpocząć produkcję!

Mała atrakcyjność wyrobów rzemieślniczych. Jak wiadomo, rzemiosło polskie przechodziło od roku 1949 okres systematycznej likwidacji. Ci, którzy coś uratowali, próbują dzisiaj wznowić produkcję. Jednak rzemieślnik polski zapędzony do spółdzielni pracy, które produkowały notorycznie tandetę, przez długi czas nie miał zainteresowania postępem w dziedzinie dobrego rzemiosła, jakie było i dalej jest na Zachodzie. Zbrakło i katalogów i literatury rzemieślniczej z Zachodu.

Te braki wyszły na jaw w czasie tegorocznych Targów Poznańskich, kiedy rzemiosło polskie wystawiło znowu swoje wyroby. Jak donosi prasa krajowa, zaopatrzenie rzemieślników zawiodło tu na całej linii. Ministerstwo przemysłu drobnego i rzemiosła nie przydzieliło bowiem rzemieślnikom takich surowców jak: srebro, blacha miedziana, blachy z metali szlachetnych itp. Stąd wyroby rzemieślników polskich wypadły słabo — widać było wyraźnie zacofanie spowodowane zniszczeniem rzemiosła w okresie ostatnich 8 lat. Towary były wykonane precyzyjnie, jednak wygląd ich był mało atrakcyjny.

Z tej piekarni chleba nie będzie. Klasycznym przykładem trudności spotykanych przez rzemieślników jest sprawa piekarza w Bielsku-Białej, opisana w „Tygodniku Powszechnym" z 7 sierpnia br.

Jak wiadomo, wypiek chleba w Polsce jest monopolem rządowym. Nadzór nad piekarniami mają rady narodowe, które planują rodzaj, wagę i ilość chleba. Wiadomo również, że chleb w Polsce, obłożony różnymi kosztami ze strony biurokracji, jest — w porównaniu z ceną chleba na Zachodzie — bardzo drogi.

Otóż zachęcony sloganami o konieczności odrodzenia się w Polsce rzemiosła, mieszkaniec Bielska-Białej, obywatel Nowrotek, postanowił otworzyć prywatną piekarnię. Rada Narodowa, widocznie postępowa, powzięła w dniu 15 lutego br. uchwałę zezwalającą obywatelowi Nowrotkowi na otwarcie piekarni.

Jednak uchwała Rady Narodowej to nie wszystko, bo chleb można upiec tylko z mąki, zaś mąką zarządzają uspołecznione zakłady piekarnicze, a tu dyrektor oświadczył ob. Nowrotkowi, że nie będzie wypiekał chleba, bo on mu mąki nie da. Nie da i basta!

Sprawa — jak pisze prasa — poszła do komisji porozumiewawczej stronnictw politycznych a później do wojewódzkiej Rady Narodowej, która podzieliła zdanie dyrektora od mąki, nieprzychylne dla prywatnej inicjatywy. Rzecz oparła się o Warszawę — pojechał tam nawet osobiście obywatel Nowrotek. Zwrócił uwagę na inicjatywę rządu odnośnie odrodzenia rzemiosła. Dowiedział się atoli, że winę ponosi jego wojewódzka Rada Narodowa w Katowicach.

Z końcem września sprawa wciąż jeszcze spoczywała w rękach biurokratów, zaś obywatel Nowrotek, który do tego czasu wydał większą część swoich pieniędzy przeznaczonych na otwarcie piekarni, wciąż jeszcze oczekuje zezwolenia na przydział mąki. Jednak dziś już przeczuwa, że z jego piekarni chleba nie będzie. A jeśli i doczeka się w końcu jakiejś decyzji, to i tak jest wątpliwe czy ktokolwiek kupi chleb z jego piekarni, bo dyrektor magazynów da mu taką mąkę, z której Nowrotek jadalnego chleba nie wypiecze.

Jak w tym stanie rzeczy należy rozumieć kompetencje Rad Narodowych — pyta pismo — gdy uchwały ich potrafią obalać dyrektorzy magazynów mąki? Pytanie słuszne, ale z tymi Radami Narodowymi to właściwie też się wiele zmieniło. Na podstawie ustawy z 19 kwietnia 1950 roku, która nazwała je „jednolitymi organami władzy państwowej", samorząd terytorialny został — zgodnie z sowieckimi wzorami — zlikwidowany. Nie ma dziś sądownictwa administracyjnego, do którego mógłby pokrzywdzony obywatel wnieść skargę — nie ma najwyższego trybunału administracyjnego. Jest tylko biurokracja i partia, jako władza wyższego stopnia.

Ścierające się z sobą resorty. W państwie komunistycznym ścierają się z sobą bezustannie biurokraci poszczególnych resortów. Organem nadzorczym nad tzw. gospodarką komunalną jest ministerstwo gospodarki komunalnej, które — po usunięciu Mijala — ustraciło status ministerstwa. Piekarnie należą do ministerstwa przemysłu drobnego oraz do ministerstwa wyżywienia. Najsilniejszym resortem w sporze Nowrotka jest resort wyżywienia, bo on posiada mąkę. Ministerstwo gospodarki ma tylko wodę do rozrabiania ciasta. A skutek tej nieprzytomnej gmatwaniny resortów jest taki, że jak jest woda, nie ma mąki, jak jest mąka — nie ma wody. Jedyna chyba nadzieja w tym, że rzemieślnik polski to uparta sztuka: jak się zawzięmie w dążeniu do pracy „na swoim" — to gotów przeskoczyć nawet i te wszystkie, tragiczne w swoich rozmiarach, nonsensy.

A. Z.

NOWY ROK AKADEMICKI W POLSCE

Z początkiem października rozpoczął się w Polsce nowy rok akademicki. Jak podaje prasa krajowa, na pierwszy rok studiów na wyższych uczelniach, podległych ministerstwu Szkół Wyższych, przyjęto 15.000 młodzieży, a ogółem studiować będzie w tym roku około 73.000 studentów. Ponadto ze specjalnych wieczorowych i korespondencyjnych kursów dla pracujących — korzystać ma blisko 25.000 osób.

Cyfry te dotyczą tylko szkół podległych ministerstwu Szkół Wyższych. Poza tym jest jeszcze dużo szkół wyższych zawodowych podlegających odnośnym ministerstwom, np. szkoły medyczne (ministerstwo zdrowia), szkoły rolnicze (ministerstwo rolnictwa) itp. Minister Szkolnictwa Wyższego, Żółkiewski, ocenił ogólną cyfrę studentów na 170 tysięcy.

Z dalszych informacji prasy w Polsce wynika, iż około 70% studentów ma otrzymać stypendia państwowe, a 6% zamieszka w domach akademickich. Warunki mieszkaniowe w tych domach są niestety nadal bardzo ciężkie. Min. Żółkiewski stwierdził, że na jednego studenta przypada niewiele więcej niż 4 metry kwadratowe przestrzeni mieszkalnej (ok. 5 × 8 stóp), a w niektórych wypadkach nawet i mniej...

Zmniejszyła się więc liczba studentów przyjętych w tym roku na studia wyższe. W niektórych wypadkach zmniejszenie to jest nawet bardzo znaczne. Np. na Politechnikę Warszawską przyjęto w bież. roku tylko 1.088 kandydatów, podczas gdy w roku ubiegłym przyjęto ich 2.430. Uniwersytet Warszawski w ogóle nie przyjął nowych studentów na wydział dziennikarski, ani na oddział sanitarno-higieniczny.

PRZYBYŁY JUŻ DARY Z AMERYKI

W dniu 20 września, według informacji radia warszawskiego, zawinął do Gdyni amerykański drobnicowiec, który przywiózł m. in. 105 ton używanej odzieży i obuwia. Przesyłkę tę ofiarowała dla ludności polskiej charytatywna organizacja katolików amerykańskich. Komunikat radiowy dodaje, iż według informacji otrzymanych w Gdyni, „przewidziana jest wysyłka dalszych darów".

Sprawę wznowienia pomocy katolików amerykańskich dla ludności w Polsce omawialiśmy w ŻYCIU nr 38/535.

ŻYCIE RELIGIJNE

NOSTALGIA SIŁĄ TWÓRCZĄ

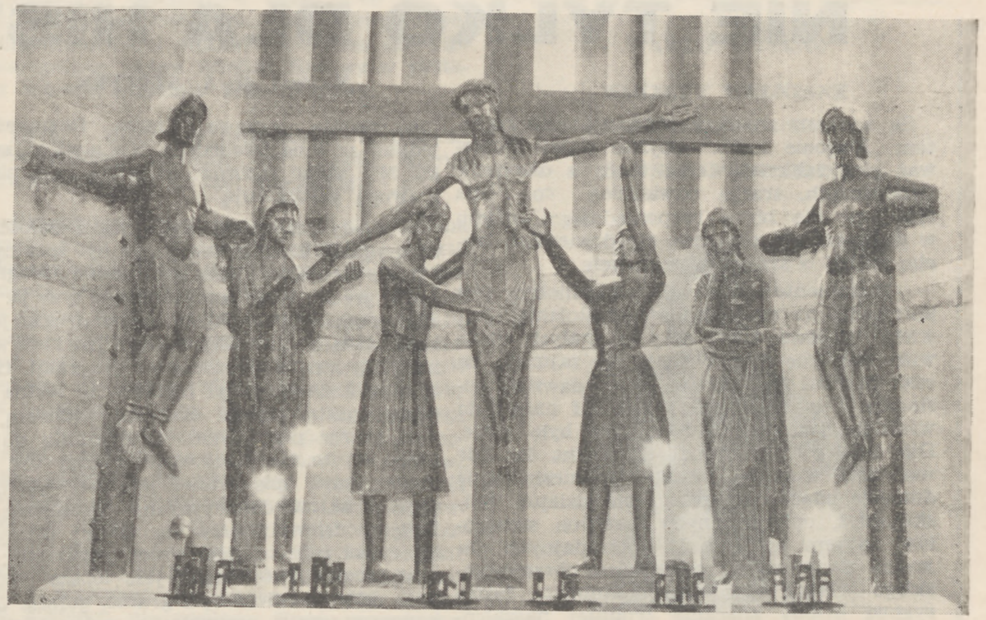
Zaledwie trzy lata minęły od budującej śmierci kardynała Ildefonsa Schustera, a już następca jego na katedrze archidiecezji mediolańskiej arcybiskup Montini rozpoczął proces wstępny do jego beatyfikacji.

Wielka postać! Wielki następca świętych Ambrożego i Karola, filarów kościoła mediolańskiego! Na katedrę powołała go wola Piusa XI z klasztoru benedyktyńskiego św. Pawła za Murami w Rzymie, gdzie był opatem. Zmienił miejsce, ale nie zmienił benedyktyńskiego sposobu życia i wiernie przez całe 25 lat rządów archidiecezją pozostał z woli i ducha synem wielkiego zakonodawcy św. Benedykta. Był przekonany, że pomimo nowych czasów misja kontemplatywna Rodziny Benedyktyńskiej nie skończyła się.

Jak niegdyś św. Grzegorz Wielki, zasiadając na Stolicy Piotrowej (590-604) pisał nieraz z nostalgią o „monasterium meum", moim klasztorze, jak również św. Ildefons te słowa powtarzał — tak w naszych czasach kardynał Schuster tęsknił za życiem zakonnym i opisywał je.

Tęsknota, nostalgia ma to do siebie, że opisuje się żywiej to, co się opuściło. „Piękność twą w całej ozdobie widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie" — pisał nasz wieszcz. Tęsknotą, także, nostalgią, posłużył się Bóg dla swych planów przez wyrwanie z klasztorów św. Grzegorza papieża i kardynała Schustera. Pierwszy napisał życiorys ukochanego św. Benedykta, rozpowszechnił przez to ducha benedyktyńskiego, a jako papież stał się wielkim organizatorem Liturgii, której znaczenie doceniać i którą ukochać nauczyła go reguła św. Benedykta, głosząca: Nihil Operi Dei praeponatur, nie ma nic nad oddawanie chwały Bogu przez Liturgię w Liturgii. Drugi wydał klasyczne dzieło o Liturgii: „Liber Sacramentorum" (8 względnie 9 tomów), „Regula Monasteriorum" czyli regułę św. Benedykta w tekście łacińskim z obszernym komentarzem, „Życie zakonne w myśli św. Benedykta", „Historię bazyliki św. Pawła", pracę o „Naśladowaniu Chrystusa", które stawiał na drugim miejscu po Piśmie Świętym.

Umiłowawszy zakon benedyktyński wpatrzony był kardynał Schuster w tę szkołę świętości. Wpatrzony był w Świętych, jakich w ciągu wieków wydał zakon benedyktyński, a także w osobę swego mistrza duchowego Placyda Riccardi, któremu Kościół przyznał już zaszczyty Błogosławionych, wspominał często rozmowy z nim i zapisał o nim, że gdyby zapytano go, czy znał zakonnika takiego, jakiego obraz daje nam „Naśladowanie Chrystusa", odpowiedziałby od razu: takim był Placido Riccardi. I stwierdził, że przykład jego, współczesnego nam, świadczy, że w każdym czasie dziejów ludzkości stosowanie w życiu reguły benedyktyńskiej może urobić Świętych, jak to stwierdza ostatnie zdanie tejże reguły. Takim stał się też kardynał Schuster, dochodząc do tej miłości Boga, z którą nie łączy się strach niewolnika, lecz cześć dziecka Bożego, jak o tym pisze niezrównany rozdział VII reguły „O pokorze". I teraz, kiedy kontemplację ziemską zamienił na oglądanie Boga twarzą w twarz, zanosi zapewne modły, aby — jak pisał w komentarzu do reguły benedyktyńskiej — Rodzina Benedyktyńska, która dała niezrównany zastęp Świętych, paliła nadal przed światem podwójną lampę pobożności liturgicznej i wiedzy Bożej.



ZDJĘCIE Z KRZYŻA — rzeźba w drzewie z XIII wieku w klasztorze hiszpańskim San Juan de las Abadesas (artykuł M. Paszkiewicza „Notatnik podróżny" w nr. 39/536 ŻYCIA)

KRONIKA KATOLICKA

PRACE KRYTYCZNE NAD WULGATĄ

Papież św. Pius X powołał do życia Papieską Komisję dla rewizji i poprawy Wulgaty, znanego tłumaczenia Pisma Świętego na język łaciński przez św. Hieronima. Chodzi o przywrócenie tekstu pierwotnego i jego wydanie krytyczne, także o ewentualne przeprowadzenie innych badań na zarządzenie Papieża. Jako miejsce tej Komisji papież Pius XI — konstytucją „Inter praecipuas" z dnia 15 czerwca 1933 — erygował specjalne opactwo św. Hieronima. Obecnie opat tegoż opactwa Don Pietro Salmon przedłożył Papieżowi Piusowi XII tom wydawnictwa krytycznego Wulgaty, zawierający Księgę Przypowieści, Księga Ekklezjastesa, Pieśń nad Pieśniami.

BIOGRAFIA MAR IVANIOSA

W czwartą rocznicę zgonu arcybiskupa Mar Ivaniosa ukazała się jego biografia wydana przez założoną przez niego drukarnię Maryi Najświętszej. Był on biskupem schizmatyckiego Kościoła jakobickiego, w roku 1930 wyrzekł się schizmy, został przyjęty na łono Kościoła katolickiego wraz z diecezjami i Papież Pius XI powierzył mu rządy nad archidiecezją metropolią Trivandrum, która została utworzona wraz z sufraganią Tiruvalla 11 czerwca 1932. W obu diecezjach obowiązuje ryt syro-malankarezyjski Kościoła katolickiego; część modlitw liturgicznych odmawiana jest w języku narodowym malayalam. Powrót gromady jakobitów do Kościoła katolickiego za przykładem arcybiskupa Mar Ivaniosa doprowadził do unii z Kościołem 80.000 osób i stąd zaczęto arcybiskupa nazywać Newmanem Indyj.

RZADKI „BESTSELLER"

Niezwykły sukces osiągnął w Stanach Zjednoczonych tomik poezyj „The Prophet". Sprzedano ponad milion egzemplarzy. Autorem jest Libańczyk Khalil Gibran, poeta i mistyk, urodzony w 1883, zmarły w wieku 48 lat, katolik obrządku maronickiego. W swoich wierszach traktuje on w sposób mistyczny temat braterstwa duchowego ludzi.

ZAKONNICE PERSONELEM WIĘZIENIA

W więzieniu niedaleko Lizbony, w którym odsiadują karę kobiety, nawet skazane za dzieciobójstwo i morderstwo, personel składa się z 25 zakonnic. Pełnią one nie tylko normalną służbę dozorowania, ale także uczą czytania, pisania, gotowania i szycia.

»OSSERVATORE ROMANO«

Poniedziałek-wtorek 16 - 17 września: przemówienie radiowe Papieża (w języku niemieckim) do wiernych zebranych w Mariazell w Austrii w 800 rocznicę tamtejszego sanktuarium Maryjnego (Papież wspomniał także o odsieczy wiedeńskiej w 1683 roku i o Janie III Sobieskim).

Środa 18 września: przemówienie Papieża (w języku francuskim) do delegatów Międzynarodowej Unii Organizacyj Rodzinnych, przybyłych na Dni Międzynarodowe o Rodzinie.

Czwartek 19 września: przemówienie Papieża (w języku francuskim) do pielgrzymki Katolickiej Unii Personelu Kolei Francuskich.

Piątek 20 września: artykuł wstępny o Kościele w Czechosłowacji.

Sobota 21 września: list Papieża (w języku francuskim) do XIV Międzynarodowego Kongresu UNIAPAC (L'Union Internationale des Associations Patronales Catholiques); list Papieża (w języku francuskim) do Unii Zakonnic Wychowawczyń Parafialnych we Francji.

Niedziela 22 września: list Papieża (w języku włoskim) do kardynała Siri z racji XX Tygodnia Społecznego katolików włoskich.

Czwartek 26 września: artykuł z racji V Światowego Kongresu Prasy Katolickiej.

NIE TYLKO DLA HISTORYKÓW

Napisał dr A. STEFFEN

Są wyraźne znaki, że dyskusja nad regestem „Dagome iudex" pójdzie dalej. Ponieważ głos zabierają teraz osoby z ośrodków uchodźczych, trzeba powiedzieć coś dla tych, co nie biorą bezpośredniego udziału w dyskusji, ale chcieliby się dowiedzieć trochę więcej o samym dokumencie.

Dokumentów, których przedmiotem jest darowizna na rzecz Stolicy Apostolskiej, jest wiele. Większa część dotyczy małych darowizn. Nikt się nimi obecnie nie zajmuje, bo czas odebrał im wartość, jaką dawniej posiadały. Darowizna zaś Mieszka I należy do wielkich darowizn, których nie było wiele. Dla Stolicy Apostolskiej dokument ten nie ma dziś wartości, natomiast niesłychanie doniosłe znaczenie ma on dla dziejów Polski, gdyż, oprócz innych ważnych szczegółów, zawiera opis granic, miarodajnych dla końca panowania pierwszego chrześcijańskiego władcy. Bez tego dokumentu historykowi byłoby znacznie trudniej naszkicować granicę Polski dla okresu przed wstąpieniem na tron Bolesława Chrobrego, który granice Polski rozszerzał. Dla badaczy, co się zajmują początkami naszego chrześcijaństwa, dokument „Dagome iudex" tez jest bardzo ważnym źródłem.

Nasz regest jest streszczeniem oryginału, który zaginął, przypominającym wyciąg w jego końcowej części. Tekst jest krótki. W jednych rękopisach widzimy 8 wierszy na pergaminowej „ósemce", w innych nawet mniej, nie licząc oczywiście interpolacji sardyńskiej, która pochodzi od kardynała Deusdedita. Właściwie jest tam tylko jedno zdanie, zbudowane z przeszło 100 wyrazów. Ogłosił to drukiem w roku 1741 we Włoszech kardynał Stefan Muratori, w Niemczech o 100 lat później L. Giesebrecht, w Polsce w roku 1864 August Bielowski. Bielowski miał dobre stosunki z hr. Aleksandrem Przeździeckim, który lubił podróżować. Przeździecki szukał regestu w bibliotekach włoskich, znalazł jeden w Rzymie, odpisał tekst i odpis przekazał Bielowskiemu, dla kontroli. Niemcy wyprzedzili nas także w badaniach. W roku 1843 pisze o regeście wymieniony I. Giesebrecht, w roku 1868 H. Zeissberg. W Polsce zrobił początek A. Żukowski w roku 1877, potem zabierają głos W. Kętrzyński, K. Potkański, J. Ptaśnik, T. Gromnicki, O. Balzer, M. Łodyński, Z. Wojciechowski, R. Żmigrod-Stadnicki, S. Zakrzewski, R. Grodecki, A. Brückner, M. Rudnicki, W. Abraham, A. Vetulani, M. S. Jedlicki i inni. Całą literaturę do końca 1936 roku zestawiła Z. Kozłowska-Budkowa w pracy „Repertorium polskich dokumentów doby piastowskiej". Podręcznik ten jest dostępny w British Museum Library w Londynie. Po drugiej wojnie światowej prac przybyło. Liczba stale wzrasta.

Jak widzimy, dyskusja nad małym dokumentem toczy się już przeszło 100 lat, czyli dłużej niż dyskusja nad autentycznością kamieni mikorzyńskich. Badacze ciężko się napracowali, ale nie doszli do mety, bo dokument jest bałamutny, niejasny w szczegółach. Tym też pewnie należy tłumaczyć fakt, że przed rokiem 1954 nikt nie przełożył go na język polski.

Przyjemnie jest czytać co o regeście powiedziano. Jest to lektura pasjonująca nie tylko dla historyków. Badacze oczywiście różnią się poglądami na poszczególne zagadnienia, osłabiają argumenty poprzedników lub obalają, wysuwają nowe. Rozmawiają jednak ze sobą swobodnie. Nie słychać krzyku. Nie widać autorów, co jedną ręką piszą, a drugą gestykulują.

Wszyscy oczywiście wychodzą z założenia, że oryginał aktu donacyjnego był spisany w języku łacińskim. Nikt nie zwrócił uwagi na język grecki, więc pomyślałem o tym ja. Język grecki był w tych czasach drugim językiem świata chrześcijańskiego, językiem wielkim, używanym w piśmie i dyplomacji. Gdyby akt donacyjny był łaciński, to łacina regestu byłaby lepsza. Badacze podnoszą, że opis granic przeniesiono z oryginału do regestu w formie dosłownej. Inaczej być nie mogło, gdyż opis granic jest najważniejszą częścią aktów donacyjnych. Stosownie do tego spodziewalibyśmy się dobrej łaciny w tej części regestu. Jest wręcz przeciwnie: łacina początkowej części jest lepszą, końcowej, która zawiera opis granic, gorszą. Opis końcowej części przypomina grekę. Myślę o stylu.

Moje spostrzeżenia przedstawiłem ks. prałatowi Meysztowiczowi w roku 1954. Nie mówiłem o stylu, mówiłem o nomenklaturze dokumentu. Ks. prałat zaproponował druk. Ze swej strony wysunął warunek, że redakcja „Antemurale" przetłumaczy artykuł na jeden z obcych języków, z wyłączeniem jednak języka niemieckiego, na co uzyskałem zgodę. Wysłałem artykuł koło gwiazdki. Wiedząc, że historycy nie lubią nowych hipotez, posłałem kopię maszynopisu do Anglii, aby wybadać, jak na to zareagują. Potem przerobiłem artykuł, posłałem przeróbkę do Rzymu, prosiłem o podrzucenie maszynopisu prof. G. Maverowi i dałem znać, że wybieram się do Aten, aby się dalej przyglądać greckim śladom dokumentu. Po powrocie do Szwecji przygotowałem dalsze zmiany w zasadniczej argumentacji, które miały być wprowadzone do pierwszej korekty. Niestety, korekty nie otrzymałem. W jesieni 1956 przyszły odbitki. Stwierdziłem, że nie przetłumaczono tekstu, a korektę przeprowadzono tak niedbale, że miejscami został zerwany związek treści. Korekty zaś greckich wyrazów, złożonych fatalnie, chyba w ogóle nie przeprowadzono. Jak widzimy, początek nie był dobry. Może lepszy będzie koniec.

Z tego samego miejsca, gdzie ukazał się mój artykuł, wyszła krytyka. Krytyka, jeśli rzeczowa, robi dobrze. Każdemu wolno krytykować. Krytyki nie należy się bać. W pierwszym artykule (ŻYCIE z dn. 19. 5. 57) mgr W. Kujawski próbował podważyć jeden argument, w drugim (ŻYCIE z dnia 15. 9. 57) poszedł na wszystkie. Moje argumenty są językoznawcze. Z tego, co mgr Kujawski powiedział, wynika, że on językoznawczych argumentów nie lubi. Zdaję sobie sprawę, że w moim artykule „Greckie ślady w regeście 'Dagome iudex'" są miejsca, które można zaatakować z powodzeniem. Mgr Kujawski mógłby tam wywrócić jedno i drugie, gdyby chciał. Na razie tego nie zrobił, a tylko straszył autora. Piszę większą pracę o naszym dokumencie, nie jest więc w moim interesie mówić teraz wiele. Ale coś powiedzieć trzeba.

Pewne znaczenie dla greckiej hipotezy ma oczywiście podanie Adama z Bremy o Grekach na wyspie Wolin. Gdyby się okazało, że moja hipoteza jest słuszną, podanie Adama mogłoby się przyczynić do wyjaśnienia kwestii, skąd wzięła się znajomość języka greckiego na polskim dworze książęcym. O Grekach wiedzą i inne źródła na Zachodzie, które traktują o starożytnym Wolinie. Gdyby Adam z Bremy poświadczył obecność Greków w niemieckim mieście portowym lub szwedzkim, to Niemcy i Szwedzi wiedzieliby, jak taką wiadomość wyzyskać. Mgr Kujawski zaś spokojnie powiada „A najbardziej niepokojące jest to, że Adam Bremeński, mówiąc o Grekach, ma na myśli nie przedstawicieli antycznej Hellady i nie Bizantyjczyków ,lecz — Rusinów." Co to znaczy? Znaczy to, że według niego Adam używa wyrazu **Graeci** w znaczeniu „Rusiny". Aby byc konsekwetnym, mgr Kujawski musi przyjąć także, że nomenklatura **Graecus ignis** (dosłownie: „grecki ogień"), która występuje u Adama w tym samym miejscu, znaczy „ruski ogień" i że wynalazcami tego środka wojennego, który miał zastosowanie w Grecji grubo przed narodzeniem Chr., byli Rusiny. Adam z Bremy, gdyby dziś żył, obraziłby się pewnie na mgra Kujawskiego. Oczywiście mgr Kujawski tego nie wymyślił Nie twierdził, ale myślał o tym w XVI wieku autor „Kroniki Pomorza", Tomasz Kantzow.

Gdy wykazuje, że wyraz civitas regestu znaczy „kraj" lub „państwo", a nie gród, mgr Kujawski przeczy i chwali dawną hipotezę prof. J. Widajewicza, według której **Schinsghe** na początku dokumentu miałoby się odnosić do Gniezna, a na końcu dokumentu do Szczecina, hipotezę niepopularną, nie liczącą się zupełnie z pisanym słowem, które jest dla historyków złotem, zignorowaną przez badaczy i zapomnianą potem przez tego, co ją stworzył. Powtórzoną na końcu dokumentu nazwę Schinesghe poprzedzają słowa „usque in predictam civitatem". Jak widzimy, miejsce jest tak zredagowane, że nie może być mowy o dwóch obiektach. Nie wiem, co powiedzieć o takiej argumentacji i o tym, co mgr Kujawski pisze w konkluzji drugiego artykułu: „Poddaje się natomiast próbie argumenty, którymi dr Steffen podbudował swą koncepcję".

Faktem jest, że większość badaczy identyfikuje Schinesghe z Gnieznem. Gniezno według tego byłoby polityczną metropolią Polski. Za Szczecinem opowiedzieli się asy polskiej nauki, prof. A. Brückner i prof. Z. Wojciechowski. Prof. Wojciechowski należy do nielicznych historyków, co znali się na sprawach językowych. Ich hipoteza nie robi dobrze naszej psychologii, której towarzyszy poczucie, że Gniezno zawsze było stolicą Polski. Mój pogląd, że regest w ogóle nie mówi o stolicy, lecz o Pomorzu, nazywanym z grecka Schinesghe (= Schines ge), i jego przynależnościach, nie rani naszej psychologii. Osobiście wierzę, że akt donacyjny został wystawiony w Gnieźnie, i że Gniezno było wtedy metropolią. Gniezno było stolicą chrześcijańskiej Polski, potem przestało nią być. Kto może ręczyć, że było także stolicą Polski pogańskiej, gdy o organizacji państwa polskiego w dobie pogańskiej nic nie wiemy?

Mało nawet wiemy o pogaństwie Mieszka. Nasz kronikarz Gall zna właściwie tylko dwa szczegóły, mianowice, że w pogańskim okresie jego życia, który niewątpliwie był znacznie dłuższy niż okres chrześcijański, miał 7 żon i że potem poślubił chrześcijankę, Dubrawkę. Drugi szczegół jest historyczny, pierwszy wygląda na produkt bajeczki, która lubiła siódemki (nic o tym nie wie Thietmar). Oprócz podania o 7 żonach znajdziemy u Galla inne drobnostki, odnoszące się do pogańskiego okresu monarchy. Mam na myśli jego ślepotę od urodzenia, postrzyżyny i cudowne odzyskanie wzroku. O tym jednak nie mówi Gall, lecz podanie przekazane przez Galla, podanie powstałe niewątpliwie już w czasach chrześcijańskich, bo legendarne. Podań jest więcej. Jedno mówi o Krakusie i Wandzie. Nie wiadomo, które jest lepsze. Nie znaczy to, że powinnismy ignorować nomenklaturę podań.

Pustka pogańskiego okresu przeszkadzała kronikarzom i bajce. Przeszkadza ona i nam. Pustkę tę staramy się wypełnić domysłami. Obracając się twarzą do czasów historycznych, odtwarzamy okres pogański jak nam wygodniej, według okresu znanego, wyobrażamy sobie, że Mieszko I stale nosił brodę i stale siedział w Gnieźnie, że Gniezno było stolicą państwa polskiego od samego początku i że językiem dyplomatycznym była łacina. A rzeczywistość być może śmieje się za naszymi plecami.

Osobiście sądzę, że nie ma powodu spieszyć się z taką argumentacją. Wiele zrobiono dla okresu wczesnohistorycznego, wiele pozostało do zrobienia. Do spraw, które czekają w kolejce, należy m. in. nomenklatura **Licicawiki** u Widukinda (VI 33): „Misicam regem, cuius potestatis erant Slavi, qui dicuntur Licicawiki, duabus vicibus superavit, fratremque ipsius interfecit..." („Króla Mieszka, który władał nad Słowianami, nazywanymi Licikawiki, pokonał dwukrotnie i zabił jego brata...") Wiadomość ta m o ż e dotyczyć pogańskiego okresu Mieszka. Poprzedza ona podanie o podboju Łużyc (963) przez Gerona, nie pasuje jednak dobrze, może więc jest spóźniona, bo, począwszy od roku 955, Widukind jest niezwykle chaotyczny (rozbicie opisu bitwy z Węgrami) i skąpy, na co stale zwracają uwagę niemieccy badacze. O wielkim wydarzeniu, jakim była koronacja Ottona w Rzymie, milczy on zupełnie. Pytałem dwóch znanych polskich historyków, jeden mieszka w Anglii, drugi w Polsce. Pierwszy sądził, że należy czytać **Lechi**, drugi **Lucicewicze**. Jak widzimy nazwa **Licicawki** jest jasna jak nazwa **Schinesghe**. Nie wiemy co w niej tkwi, ale zachowujemy się tak, jak gdyby była dawno wyjaśniona. Treść nazwy nie przyjdzie nam na przeciw, sami musimy się do niej zbliżyć, z aparatem filologicznym. Nomenklatura **Licicawiki** niewątpliwie jest bardzo ważną. Przyszłość pokaże, ile jest wart. Bardzo ważną jest także nomenklatura **Schinesghe**. Takich miejsc, które mogą rzucić pewne światło na pogański okres Polski, jest więcej w średniowiecznych źródłach.

Wróćmy do regestu. Niejasnych miejsc jest tam wiele. Nie wybierałem rodzynków z kołacza, starałem się tłumaczyć wszystko językiem greckim, co jest dodatnią stroną teorii. Teorii, która wyjaśnia całość jednym językiem, nie można obalić byle jakimi argumentami językowymi lub pozajęzykowymi. Nie można gołym słowem „wygadać" jej autora. Aby wywrócić mu chociaż jedną etymologię, trzeba stworzyć nową, mocniejszą. Pokażę mgr. Kujawskiemu na przykładzie **Alemure**, jak się to robi.

Wiadomo, że obok formy **wieliki** (wielki) istniała w staropolszczyźnie krótsza **wieli**, wymawiana dzielnicowo **wiali** (co by się wtedy pisało: **wali**), jak można przyjąć według kujawskiej **wialki**. Stosownie do tego staropolska nazwa **Wielkie Morawy** w postaci krótszej brzmiała **Wale Murawy**.

Grek, który nie uwzględniał w pisowni słowiańskiego dźwięku „w" i pisał łącznie transliterowałby to tak: **alemourai.**

Przyjmijmy więc, że taka właśnie forma znajdowała się w greckim oryginale aktu donacyjnego. Łaciński tłumacz tego dokumentu transliterował to znowu na **alemure** w dobrej wierze, że końcowe **-ai** jest dyftongiem. Poprawnie powinien i on pisać **alemurai** (por. Cainus), bo wygłosowe -i tworzyło zgłoskę dla siebie. Mamy tutaj dwa grzyby w barszcz: zero na punkcie pisowni spółgł. „w" w obu miejscach, w nagłosie i srodgłosie, i pisownię **-e** zamiast spodziewanej **-ai**. Oba szczegóły dowodzą, że nazwa została wypisana z greckiego tekstu. Mgr Kujawski nie zburzył mojej etymologii, więc musiałem sam to to zrobić. A Brückner sądził, że ten, co etymologię postawił, ma także prawo ją wywrócić. Jest to jeszcze jeden dowód, że pośpiech nie popłaca. Każda praca etymologiczna powinna odleżeć.

Identyfikacja **Alemure** z nawą **Wielkie Morawy** jest już pewnym postępem. Znalazł się w dokumencie sąsiad, którego badacze szukali. Hipiteza, że Craccoa należało do Czech, traci przez to swą podstawę. Miejsce **Alemure** składa się z dwóch wyrazów, zapisanych łącznie. Z dwóch wyrazów składa się także miejsce **Sihinesghe**, z czym inni nie chcą się zgodzić. Zobaczymy, kto ma rację. Wyraz **locus** i tutaj użyty w znaczeniu „kraj".

Jeszcze coś o stylu dokumentu. Przyjrzyjmy się takiemu miejscu z opisu granic:

„...usque in Craccoa, **et ab ipsa Cracoa usque** ad flumen Oddere recte in locum, qui dicitur Alemure, **et ab ipsa Alemura usque** in terram Milze..." („...aż do Craccoa, i od tegoż Craccoa aż do rzeki Odry prosto do kraju, który nazywa się Alemure, i od tegoż Alemure aż do krainy Milze...").

Podkreślone miejsca są balastem. Wystarczyłoby pisać „inde" (stamtąd) zamiast „et ab ipsa Craccoa usque". Balastu tego nie widać w analogicznych dokumentach. Oto miejsce z opisu granic pewnego dokumentu, wystawionego w Rzymie za pontyfikatu papieża Grzegorza V:

„...et pergit in Pontem fractum, **inde** in Stafilum antiquum, **inde** in Rivum de Silva Rosaria, **inde** in fluvium Tiberis..."

Balast regestu „Dagome iudex" przypomina grekę. Zestawmy to z pewnym miejscem dzieła „De administrando imperio" cesarza bizantyńskiego Konstantyna Porf (roz. 9):

„Apo de tou Danoubiou katalambanousin eis ton Konopan, **kai apo tou Konopa** eis Konstantian, (**kai apo tes Konstantias**) eis ton potamon Barnas, **kai apo Barnas** erchontai eis ton potoman Ditzinam..." („Od Dunaju udają się do Konopas, i od Konopas do Konstancji, i od Konstancji do rzeki Warny, i od Warny przybywają do rzeki Dicyny...").

Styl naszego regestu ma więcej ciekawych rzeczy. Dokument się wyjaśni, jeśli ludzie nie będą przeszkadzać.

Augustyn Steffen

SZTUCZNY SATELITA SOWIECKI

Napisał TADEUSZ FELSZTYN

Pisząc o planach wypuszczenia sztucznego satelity w czasie międzynarodowego roku geofizycznego w numerach 485 i 486 ŻYCIA, zaznaczyłem, że w przeciwieństwie do satelity amerykańskiego — o satelicie sowieckim wiemy bardzo mało. Pierwsze jako tako obszerne informacje o nim podali Rosjanie dopiero w oficjalnym komunikacie, noszącym datę 10 czerwca bież. roku, który jednak został podany do publicznej wiadomości przez generalny sekretariat roku geofizycznego dopiero w sierpniu.

Dokument ten mówi dziwnie mało o konstrukcji tego sztucznego satelity, wiele natomiast o jego zadaniach naukowych. A są one — wedle zapowiedzi przynajmniej — bardzo imponujące. Jako jedno z głównych zadań postawiono badanie promieni kosmicznych. Choć wiele już dziś wiemy o nich, brak dotąd danych wyczerpujących, obejmujących całą kulę ziemską. Satelita sowiecki, którego tor przechodzić będzie nad obydwoma biegunami, będzie miał istotnie wyjątkowe możliwości ich badania. W tym kierunku program sowiecki jest bardzo ambitny. Oprócz bowiem badania ogólnego natężenia promieni kosmicznych na poszczególnych wysokościach i w poszczególnych punktach ziemi, Rosjanie zamierzają badać również i skład promieni kosmicznych, a w szczególności zawartość w nich boru, litu i berylu, pierwiastków, które w promieniach kosmicznych są bardzo rzadkie. Dotychczasowe próbne sondy angielskie i amerykańskie (od 1947 roku) wykazały, że nawet na wysokościach 20 mil uzyskanie konkretnych danych odnośnie tych pierwiastków nie było możliwe. Jest więc szansa, że znacznie wyższy lot i dłuższy okres pobytu sowieckiego satelity w tych rejonach atmosfery pozwoli na uzyskanie danych bardziej obfitych i mniej fragmentarycznych.

Drugim punktem programu jest badanie magnetyzmu ziemskiego. I tutaj, ponieważ lot satelity sowieckiego będzie obejmował całą kulę ziemską, może on przynieść cały szereg bardzo cennych wiadomości.

Trzecim głównym punktem programu to badanie obfitości rozłożenia i siły przebijania drobnych meteorytów i mikrometeorytów, a więc drobniuteńkich okruchów materii i pyłu kosmicznego, które nieustannie bombardują naszą ziemię z przestrzeni międzyplanetarnych.

Ponadto program sowiecki obejmuje takie zagadnienia, jak optyczne własności atmosfery na różnych wysokościach, dalej cząsteczki materialne, którymi słońce bombarduje ziemię, najsilniej zwłaszcza w okresach plam słonecznych i wyskoków (prominiscencji) na słońcu, a wreszcie studium ściśle z nimi związanego zjawiska zorzy polarnej.

Dalej satelita sowiecki ma uzyskać fotografie widma słońca na dużych wysokościach. Atmosfera nasza bowiem pochłania fale tak długie, jak i krótkie, zostawiając tylko dwa „okna" (światła widocznego i krótkich fal radiowych), przez które obserwować możemy świat. W szczególności promienie krótsze niż 0,29 mikrona nie przechodzą przez warstwę ozonu w powietrzu. Tymczasem z punktu widzenia zrozumienia zjawisk, zachodzących na słońcu, te właśnie promienie są bardzo cennym źródłem informacji. Pierwsze widmo słońca w zakresie tych fal uzyskano dopiero niedawno w Stanach Zjednoczonych przy pomocy spektroskopu, wystrzelonego na rakiecie. Niewątpliwie jednak satelita pozwoli na znacznie liczniejsze zdjęcia.

Na koniec instrumenty wbudowane w satelitę pozwolą dokładnie zbadać stan górnej atmosfery, a więc jej ciśnienie, temperaturę i gęstość, a nawet i skład.

Jak widać, program ten jest bardzo obfity i wymaga licznej i złożonej aparatury do samych pomiarów, a cóż dopiero do przeliczenia wyników tych pomiarów i do ich przekazania na ziemię w postaci sygnałów radiowych. Jak obliczono, sama aparatura do badania składu promieni kosmicznych musi ważyć co najmniej 9 funtów.

Dokument sowiecki nie podawał dat wystrzelenia poszczególnych satelitów, ani też nie ujawniał czy program ten będzie realizowany od razu przez wszystkie ich sztuczne księżyce, czy też rozłożony będzie na kilka lotów. Ba, nawet wymiary i konstrukcja satelitów sowieckich pominięte były milczeniem, choć Amerykanie wyszczególnili dokładnie nie tylko te dane, ale nawet i szczegółowe rysunki swoich satelitów.

Wystrzelenie sztucznego satelity przez Rosjan w nocy z 4 na 5 października nie było więc dla świata naukowego niespodzianką, choć niewątpliwie było zaskoczeniem. Uczeni nie mogli ukryć swego rozczarowania i uczucia zawodu z powodu wyraźnej nielojalności sowieckiej. Szczególnie silne musi być to uczucie wśród uczonych amerykańskich, i to nie tylko na skutek zrozumiałego zadrażnienia ambicji, że Rosjanie ich ubiegli. W kołach naukowych — jak to podał sir H. Spencer Jones (były angielski astronom królewski a obecnie sekretarz generalny International Council of Scientific Unions) na odczycie w Birmingham właśnie w dniu wystrzelenia satelity sowieckiego — wiedziano, że przyczyną opóźnienia amerykańskiego programu satelity były nie trudności w jego konstrukcji, ani nawet opóźnienie w budowie rakiet, które go miały wystrzelić, (gdyż te od dawna już są gotowe), ale zagadnienie jego obserwacji.

Ponieważ baterie zasilające przyrządy i aparaty nadawcze satelity wyczerpią się prawdopodobnie znacznie wcześniej, niż opór powietrza spowodu zniżenie lotu, a więc w konsekwencji i spalenie się satelity, toteż — oprócz sieci obserwacyjnej, która ma ściśle określić tor satelity przy pomocy anten kierunkowych w czasie, gdy aparat nadawczy satelity będzie działał — konieczne są ponadto i liczne stacje na całej trasie satelity, które pozwolą na obserwowanie lotu przy pomocy lunet. Zmontowanie tych stacji, ich połączenia radiowe i — gdyby komunikacja radiowa miała zawieść — kablowe, wykonanie potrzebnych a złożonych przyrządów, które pozwolą na ustalenie czasu przelotu satelity z dokładnością do dziesięciotysięcznych części sekundy — wszystko to wymaga długich i żmudnych przygotowań. A są one konieczne, jeśli lot satelity ma dać istotnie te dane o stanie atmosfery, których się od niego oczekuje. I właśnie dlatego Amerykanie zrezygnowali na początek z lotu dokoła biegunów, naukowo najbardziej wydajnego, a wybrali lot równikowy (od 40 stopni szerokości geograficznej północnej do 40 stopni południowej), gdyż jest to pas ziemi, gdzie jest najwięcej lądu, gdzie można więc umieścić najwięcej stacyj obserwacyjnych.

Lot satelity, aby był naprawdę nakowo pożyteczny, wymaga ścisłej współpracy międzynarodowej. Sygnały radiowe, jakie wysyła satelita, rozchodzą się nieomal po liniach prostych. Przy zastosowanych długościach fal, powietrze jest przejrzyste dla nich, a więc nie ma odbijania, które pozwala na ich zakrzywienie, a tym samym na dojście ich z jednego punktu ziemi do drugiego, jak to się dzieje przy radiofonii. A nawet, gdyby takie odbijanie wyjątkowo zaistniało, to — wobec wysokości lotu tego satelity — działałoby ono wręcz odwrotnie: odbijałoby mianowicie fale ku górze. W rezultacie sygnały wysyłane przez satelitę można chwytać tylko wtedy, gdy znajduje się on na linii prostej od stacji odbiorczej, gdy więc — w teorii przynamniej — można go widzieć. Brak sieci międzynarodowej musi więc przekreślić obserwacje przez połowę czasu lotu satelity nawet, jeśli bazą obserwacyjną jest kraj tak rozległy jak Rosja Sowiecka.

A tymczasem Rosjanie nie tylko że nie czekali na zmontowanie międzynarodowej sieci obserwacyjnej, na wykończenie przygotowań w Jodrell Bank (w pobliżu Manchesteru), którego radioteleskop miał grać ważną rolę w tej obserwacji lotu satelitów, ale nawet nie podali znaczenia sygnałów, jakie ich satelita nadaje, co tym bardziej uniemożliwia ich wykorzystanie przez obce stacje. Nawet w drobnych szczegółach ich nielojalność jest widoczna. Na kongresie w Barcelonie, w jesieni zeszłego roku, uzgodniono, że wszystkie wystrzelone sztuczne księżyce będą nadawać swe sygnały na fali 108 megacykli: tymczasem satelita sowiecki nadawał je na falach od 20 do 40 megacykli.

Również wbrew ustalonym na kongresie zasadom, Rosjanie nie poinformowali centralnego komitetu Międzynarodowego Roku Geofizycznego o terminie wystrzelenia swego satelity, co znów przekreśliło współpracę międzynarodową. Dla porównania podajmy, że termin o kilka zaledwie tygodni wcześniejszego podziemnego wybuchu atomowego, ważnego dla studiowania budowy wnętrza ziemi, Amerykanie podali na czas wszystkim obserwatorium sejsmologicznym współpracującym z rokiem geofizycznym.

Technicznie biorąc, satelita sowiecki jest niewątpliwe dużym sukcesem. Jego masa (170 do 180 funtów) jest imponująca, świadczy bowiem o tym, że wystrzeliwująca go rakieta musiała mieć wagę ponad sto ton, a więc więcej, niż najcięższy samolot. I tu znów mała uwaga: jakkolwiek Rosjanie nigdy oficjalnie nie podali danych o wadze swego satelity, to jednak z informacyj, jakie podawali oni ustnie, członkowie międzynarodowego komitetu Roku Geofizycznego byli przeświadczeni, że będzie ona bliska wagi satelity amerykańskiego, tj. że będzie się równała około 10 kilogramom. Natomiast wymiar satelity dość dobrze zgadza się z przewidywaniami — średnica jego wynosi bowiem 23 cale.

Rosjanie wykazali więc duży poziom techniczny swych prac rakietowych oraz związanych z nimi przyrządów elektronowych i osiągnęli niewątpliwie duży sukces propagandowy. Chęć jednak uzyskania tego sukcesu i tak dla nich typowe lekceważenie zaciągniętych zobowiązań spowodowało, że satelita ich da znacznie mniej danych naukowych, niż by to było możliwe przy dobrze zorganizowanej współpracy międzynarodowej. Może fakt ten otrzeźwi nieco tych „entuzjastów", którzy chcą wierzyć, że międzynarodowa współpraca z krajami komunistycznymi jest naprawdę możliwa.

Tadeusz Felsztyn

KOMPOZYTOR DALEKIEJ PÓŁNOCY

Napisała ALICJA KISIELNICKA

Choć daleka, lecz wzbudzająca zawsze żywe zainteresowanie odrębnością swoich reakcji maleńka Finlandia przeżywa obecnie stratę w skali ogólnonarodowej. 20 września zmarł jej wielki kompozyńtor Jean Sibelius, uważany przez krytyków muzycznych za ostatniego z romantyków w zakresie muzyki symfonicznej. Śmierć nastąpiła nagle, w domu kompozytora, wybudowanym dla niego przez państwo, w cichym ustroniu leśnym w pobliżu Helsinek. Sibelius dożył lat 91*) zachowując do końca wyjątkową jak na te podeszłe lata rześkość fizyczną i pełnię władz duchowych.



Fotografia z czerwca 1955 roku, Sibelius, po koncercie jego muzyki w Helsinkach, odpowiada na owacje tłumów.

Pomimo że zamilkł jako twórca już od lat trzydziestu, jego naród nie tylko że nie zapomniał o nim, lecz otaczał go czcią i miłością do ostatka. Każdego roku, w urodziny uwielbianego kompozytora, całe cieżarówki rozczulających prezentów zajeżdżały przed willę leśną „Aina" i domownicy mieli kłopotu co niemiara z samym rozpakowywaniem tych dowodów pamięci. Drewiane ściany domu trzeszczały pod naporem tłumów gości, wśród których nie zabrakło nigdy prezydenta Finlandii i przedstawicieli rządu.

Bo rzecz to ciekawa i znamienna: Sibelius — w latach bezsiły twórczej — był traktowany przez fińskie władze tak samo jak i wtedy, gdy komponował swoje sławne symfonie.**) Nikt nie wyrażał zdziwienia, że przestał tworzyć, nikt go nie pytał o powody. Pensję, którą mu przyznano w okresie najbujniejszej twórczości, otrzymywał ze skarbu państwa do ostatnich dni życia, a przy tym uważano to za rzecz tak oczywistą, że Sibelius nie czuł się nigdy dłużnikiem państwa, a na odwrót, władze Finlandii były zdania, że żadne świadczenia materialne z ich strony nie mogą dostatecznie wynagrodzić dorobku, którym Sibelius obdarzył swój naród.

Ta, rzadko w innych krajach spotykana postawa, wypływa zarówno z dobrych obyczajów Finlandii jak i z faktu, że Sibelius w swojej oryginalnej indywidualności muzycznej odtwarzał najbardziej indywidualne cechy własnego kraju i narodu. Jeżeli mówi się o jego muzyce, że stoi ona poza wszelkim czasem, to umiejscowić ją jednak można w sposób całkowicie określony, i nie gdzie indziej jak tylko w Finlandii. Ma ona w sobie posępny urok jezior fińskich i mroczne szumy wysokopiennych lasów tego kraju. Jest w niej surowy oddech chłodu północy, jest — cała Finlandia, ze wszystkim, co ją czyni tak bardzo pociągającą i odrębną.

Takiej muzyki nie mogą nie wielbić Finowie. Lecz kochana przez nich, wydaje się nieraz obca i niezrozumiała innym narodom, co podobno tkwiło ostrą zadrą w sercu Sibeliusa. Był twórcą tej miary, iż miał prawo sądzić, że pomimo wybitnych cech narodowych swojej muzyki, mógłby szersze znaleźć uznanie. Przecież muzyka Chopina, pomimo całej swojej polskości porwała świat...

Oczywiście, inny to rodzaj muzyki i inny wymiar wielkości, ale nie to jest tutaj najważniejsze. I nawet nie to, że Sibelius wyraźnie odwracał się od reszty świata i jego wpływów, że nie znosił wyjazdów za granicę, a gdy mu w latach młodości przyszło — dla uzupełnienia studiów — wyjechać do Niemiec (co uważano wówczas za rzecz niezbędną), pozostał tam głuchy na muzykę wielkiego Wagnera, niewielką uwagą darzył Straussa: skwapliwie wrócił, mając lat 26, do Finlandii, unikał potem wszelkich dalszych wojaży, chcąc zawsze być tylko sobą i u siebie. To nie mogło — rzecz prosta — utorować mu drogi do sławy światowej. Lecz poza tym wszystkim, już nie w postawie, a w samej muzyce Sibeliusa jest także coś co jednych pociąga i zachwyca, a innych bardzo prędko nuży i zniechęca. W twórczości jego umysł ma zdecydowaną przewagę nad uczuciem, zaś lot poetyckiej myśli jest tak wysoki, że przeciętny słuchacz nie zawsze może za nim podążyć. Czy należy się dziwić, że nieraz i nie próbuje nawet? Są i tacy, którzy powiadają, że na niedostępnych szlakach Sibeliusowej muzyki — lodowatym owiewa chłodem, że nie ogrzeje ona serca, ani krwi nie rozpali.

Angielski krytyk muzyczny Neville Cardus tak to ujmuje w tygodniku „Manchester Guardian" (21.9.57): „W symfoniach Sibeliusa — mówi — nie ma ludzi, nie ma mężczyzn, ani kobiet. Nie znajdzie też w nich niczego, co by tchnęło erotyzmem. To jest muzyka o bezosobowych emocjach." A nieco dalej czytamy: „Sybelius swoją Opus 9 nazwał „Sagą" i tę właśnie nazwę można by zastosować do całej jego twórczości." Tragiczny jej wątek wysnuty bywa często ze starych legend, pochodzi nieraz z ciemnych otchłani pradziejów. Jest ona nieskażonym w swej surowej prawdzie głosem przyrody...

Neville Cardus jest zdania, że w pierwszych swoich symfoniach, do drugiej włącznie, Sibelius jest bardziej dostępny dla przeciętnego odbiorcy, że nie wspina się w nich do nazbyt wysokich regionów, że w tej muzyce życie przelewa się jeszcze zwyczajnie i hucznie, gorącą czerwoną krwią. Warto ten artykuł przeczytać w całości, tyle w nim ciekawych opinii. Znalazłam tu także słowa samego Sibeliusa, gdy — zastanawiając się prawdopodobnie nad tym, dlaczego jego muzyka nie wszędzie i nie zawsze znajduje zrozumienie — powiada z widoczną goryczą: „Gdy inni twórcy zapełniają swoje utwory mieszankami alkoholowymi (cocktailes), — ja daję publiczności chłodną, czystą wodę". O smaku krynicznym — można by dodać — ale cóż? Nie każdy pić lubi z czystej krynicy.

U narodów łacińskich, gdzie gorącość uczuć jest motywem rozstrzygającym, twórczość Sibeliusa najsłabsze znalazła przyjęcie Poza Finlandią Anglia jest tym krajem, w którym Sibelius jest grany najczęściej i najchętniej*), chociaż i tutaj nie wszyscy odkrywają całe piękno jego muzyki, lecz zarówno jej zwolennicy jak i najbardziej zapamiętali krytycy, zgadzają się w jednym: że w twórczości Sibeliusa jest niezaprzeczalna wielkość.

Pośmiertne artykuły w prasie angielskiej przyniosły mnóstwo interesujących szczegółów biograficznych. Anglicy słusznie hołdują zasadzie, że wszystko ma znaczenie w życiu wielkiego człowieka. W wypadku Sibeliusa, czyta się skwapliwie nawet najbardziej błahe opisy, w poszukiwaniu klucza do pasjonującej zagadki jego milczenia przez lat trzydzieści. Czy bywało tak i u innych wielkich kompozytorów? Owszem — u kilku, ale z przyczyn, które były ogólnie znane. Rossini, na przykład, już na czterdzieści lat przed śmiercią przestał pisać swoje opery, ale wszyscy wiedzieli, że stało się to pod wpływem jego niechęci do forsowanego wówczas nowego rodzaju opery; leniwy przy tym z natury, rozleniwił się jeszcze bardziej w zbyt wygodnych warunkach życia. Duparc — bardzo wcześnie usunął się w cień, lecz znowu z racji dziwacznej, bliżej nie rozpoznanej choroby umysłowej; Elgar — załamał się po śmierci żony. U Sibeliusa — nikt nie zna powodu.

Krytycy angielscy zabierając na ten temat głos dochodzą do wniosku, że jest to fakt zgoła wyjątkowy, który mógłby wyjaśnić tylko sam Sibelius. Lecz Sibelius nie mówił nigdy i do nikogo o swoich przeżyciach twórczych. Kto wie zresztą, czy sam uchwycił przyczynę i źródło swojej niemocy.

Wiadomo już teraz, że do ostatnich dni próbował tworzyć. W gabinecie jego znaleziono całe stosy zapisanych nutami kartek papieru. Na wszystkich prawie kompozytor wypisał nakaz: „Spalić!" Nasuwa się pytanie: „czemu nie spalił ich sam? Czyżby chciał, aby je znaleziono po jego śmierci? Nie znosił przecież pokazywania komukolwiek owoców swojej twórczości przed całkowitym ich dojrzeniem. A jednak zostawił to wymowne świadectwo tylekroć podejmowanych prób. Jeżeli zrobił to celowo, to słowo: „spalić!" — byłoby równoznaczne z przyznaniem że próby te były daremne.

Alicja Kisielnicka

---

*) Sibelius urodził się 8 grudnia 1865 roku w Tavestenus, w Finlandii.

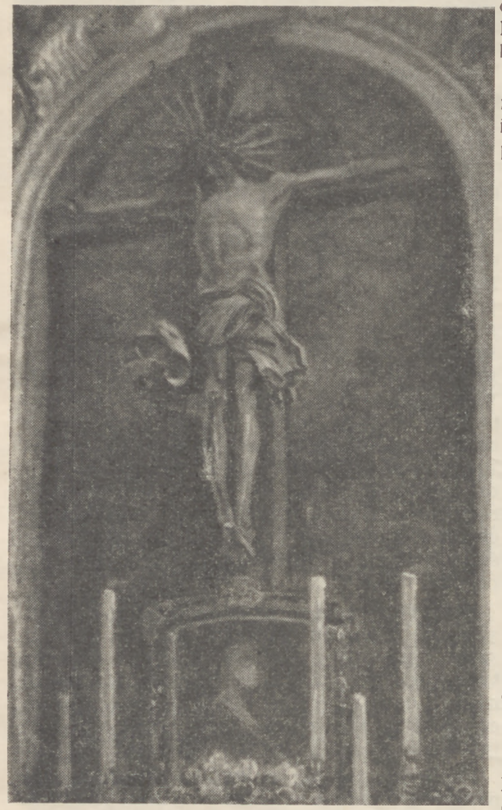
**) Siedem symfonii, poematy muzyczne, jeden pt. „Finlandia", o charakterze wybitnie narodowym, koncert fortepianowy, pieśni i inne drobniejsze utwory.

*) Stany Zjednoczone Ameryki są drugim z kolei krajem, w którym muzyka Sibeliusa uzyskała dużą popularność.

OBRAZY SERAFINA W LONDYNIE

Dom „Ogniska Polskiego" w Londynie użyczył lokalu na wystawę obrazów przybyłego z Krakowa malarza, W. Serafina. Artysta przywiózł z sobą niemałą i ciekawą kolekcję obrazów, przeważają między nimi krajobrazy tatrzańskie i architektura Krakowa — obydwa rodzaje stanowią ulubioną tematykę Serafina. Zakopane patrzy na nas z tych obrazów całym pięknem swoich gór i połonin. Widać, że artysta to piękno w sercu nosi i że starał się oddać je wiernie w kolorze i w nastroju. Krajobraz górski w obrazach Serafina wabi nas, woła na tatrzańskie ścieżki, przemawia smukłym kształtem smreków.

Motywy architektoniczne dotyczą przeważnie kościołów krakowskich i ich wnętrz. Jest co podziwiać: przede wszystkim z talentem odtworzony krucifiks Wita Stwosza z kaplicy Kościoła Mariackiego, następnie doskonały w kompozycji obraz przedstawiający ulicę i Bramę Floriańską, ciekawy w tonacji kolorystycznej i oświetleniowej. Duże wrażenie robi widok z Wieży Mariackiej na krakowskie, miłe oczom dachy. Dalej — Pałac Łazienkowski w Warszawie, o jasnej tonacji — namalowany z dużym wyczuciem pastelowej techniki.



Serafin

KRUCYFIKS Wita Stwosza z kościoła Mariackiego

Serafin ukończył Krakowską Akademię Sztuk Pięknych w roku 1937, jako jeden z najlepszych uczniów turnusu, prowadzonego przez profesorów: Władysława Jarockiego i Fryderyka Pautscha. W ciągu dwóch lat przedwojennych wystawiał swoje akwarele i oleje w Krakowie, Warszawie, Częstochowie i Zamościu, gdzie prace jego zwróciły uwagę znawców sztuki.

Z powodu wątłego zdrowia i rozwijającej się choroby nóg, artysta musi poruszać się przy pomocy lasek i kul. Ten stan fizyczny spowodował, że Serafin przerzucił się na technikę pastelową, by móc posługiwać się łatwiejszym do dźwigania i przenoszenia materiałem.

Po wojnie Serafin bierze udział w Ogólnopolskiej Wystawie Artystów Plastyków w Warszawie, gdzie kilka jego prac zostało wyróżnionych, a krytycy wydali bardzo dobrą o jego malarstwie opinię.

Artysta zdobył pierwszą nagrodę za obrazy architektoniczne starego Zamościa na Okręgowej Wystawie Artystów Plastyków w Krakowie.

Każdy turysta, zwiedzający kopalnię soli w Wieliczce ma możność zobaczenia cyklu obrazów, a jest ich 23 sztuki, z wnętrza kopalni, które właśnie malował Władysław Serafin.

Serafin ubolewa, że nie może poświęcić się tematyce marynistycznej. Kocha morze, które jest dla niego jednakże mało dostępne z powodu zbolałych nóg.

W Londynie Serafin każdy wolny czas poświęcał twórczości malarskiej. Londyn zaciekawia malarza. Znajduje tu wiele tematów. Dlatego też wśród obrazów przywiezionych z Kraju, znalazły się dwa „Zmierzch nad Tamizą i „Parlament w nocy". Zrobił on szereg szkiców, znad Tamizy, które wykończy w Polsce, by je pokazać później publiczności na jednej z krakowskich wystaw.

Wszystkie jego prace są perspektywistycznie świetne. Jest kilka obrazów doskonałych i widać, że ulubioną techniką malarza jest pastela.

Z obrazów, które przywiózł do Anglii, wiele już zdobi wnętrze mieszkań londyńskich nabywców. Generał broni Józef Haller, poza



Serafin

KRAKÓW — Kościół Św. Wojciecha

kupionym obrazem architektonicznym „Fragment wnętrza katedry na Wawelu", prosił artystę o namalowanie Jasnej Góry w Częstochowie i nadesłanie wykończonej pracy do Londynu.

Władysław Serafin to rzetelny i utalentowany malarz. Obrazy malarzy z Polski to dla nas Polaków w Anglii zawsze miłe, kolorowe pozdrowienie z Kraju.

Zygmunt Kotkowski

KONGRES FILOLOGÓW

Fédération Internationale des Langues et Littératures Modernes ma piękny zwyczaj zwoływania co trzy lata kongresu filologów, bez względu na to, czy zapraszani należą formalnie do Federacji, czy też nie. Tegoroczny kongres, już siódmy z rzędu, odbył się w Heidelbergu, w czasie od 25 do 30 sierpnia.

Zgłosiło się 326 filologów z całego świata, głównie jednak z Europy i Ameryki Północnej. Wschód był reprezentowany przez Turcję, a Daleki Wschód przez Japonię oraz Australię (był także delegat z Tasmanii). Zza żelaznej kurtyny widziało się ludzi z Polski, z Jugosławii i z Niemiec wschodnich. Z Rosji nie było nikogo.

Polaków znalazło się na kongresie tylko czworo: Kraju — p. Sławińska, prof. literatury ogólnej w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim i p. Kurkowska, wykładowczyni w dziale dziennikarstwa Uniwersytetu Warszawskiego; z emigracji: prof. Z. L. Zaleski z Paryża oraz autor niniejszej notatki. Byli zgłoszeni ponadto: doc. Ciechanowska z Krakowa i dr Westfal z Glasgowa, jednakże swoje uczestnictwo w ostatniej chwili odwołali.

Zjazd był zwołany pod hasłem badań stylu i w ogóle formy w literaturze (Problems of Style and Form in Literature). Zgłoszono 75 referatów. Ponieważ zjazd trwał pięć dni, przypadło przeciętnie po 15 prelekcyj dziennie. Podzielono je więc na sekcje (chociaż niektóre miały charakter ogólny): przewidziano również czas na dyskusje. 29 referatów było wygłoszonych w języku niemieckim, 23 w angielskim, 18 we francuskim i 5 we włoskim.

Grupa slawistów była dość silna, bo liczyła 49 osób. Oczywiście, byli tam nie tylko filologowie słowiańskiego pochodzenia; wliczam do tej sumy wszystkich tych, którzy zajmują się badaniem literatur słowiańskich. Trzeba jednak przyznać, że tym razem grupa Rosjan (z emigracji), względnie filologów rosyjskiego pochodzenia, była stosunkowo znaczna.

Jak zaznaczyłem — zjazd rozpatrywał problemy stylu i w ogóle formy. Wiadomo ogólnie, że badania te należą do nowych. Jakkolwiek poeci i pisarze od najdawniejszych już wieków pracowali nad budową pięknego stylu i dbali o strukturę swoich utworów, to jednak naukowe badania tej dziedziny wiedzy rozpoczęły się dopiero przed stu laty.

Większość referentów przedstawiała wyniki badań stylu poszczególnych, wybranych przez siebie autorów, albo nawet tylko jednej książki. Duża część mówiła o stylu jednej epoki lub jednego gatunku literackiego. Wszyscy referenci byli zgodni z tym, że styl i architektura utworu zależą wyłącznie od osobowości autora.

Zjazd oczywiście żadnych nowych form w literaturze nie wymyślił, bo to jest zadanie poetów i pisarzy, a nie filologów. Rozpatrzył jednak całą masę zagadnień, skonfrontował różnokierunkowe badania i pobudził umysły do dalszych poszukiwań.

Trudno więc szukać jakiejś syntezy osiągnięć. Próbował ją zresztą zrobić prof. Paul Röckmann z uniwersytetu heidelberskiego, który jako organizator kongresu miał ostatnie słowo w uroczystości zamknięcia zjazdu. Jednakże problemy stylu, jako nauka nowa, nie wytknęły jeszcze szerokiego gościńca swoim badaniom i kroczą drobnymi ścieżkami, zazwyczaj obok poważnej drogi nauki historii literatury*).

Tak źle się złożyło, że o literaturze polskiej na kongresie prawie się nie mówiło. Polscy referenci poruszali zagadnienia natury ogólnej i nie cytowali nic z literatury ojczystej. Jedynymi, którzy wymienili nazwiska autorów polskich, byli: prof. Czyżewskij z uniwersytetu heidelberskiego i prof. Rudnyckyj z Winnipeg. Często natomiast cytowano autorów rosyjskich, oczywiście głównie z XIX wieku. Robili to nie tylko Rosjanie, ale i członkowie nacji zachodnio-europejskich i amerykańskich, a nawet profesor japoński, który nadmienił, że na literaturę jego narodu wpłynęli także Tołstoj, Gogol i Dostojewski**).

W ciągu kongresu odbyły się dwa zebrania grupy slawistów. Większość czasu zabrało sprawozdanie z przebiegu procesu organizacyjnego sekcji slawistycznej przy Fédération Internationale des Langues et Littératures Modernes, która ma swoją siedzibę w Paryżu. Dowiedziano się z tego, że najwięcej zasług w organizowaniu sekcji slawistycznej położyli: prof. Marković z Nancy i prof. Unbegaun z Oksfordu.

Następnie debatowano nad sprawą dokonanej wysyłki zaproszeń na kongres w Heidelbergu. Profesorowie jugosławiańscy postawili dwa zarzuty: 1) że prezydium zwracało się do poszczególnych filologów, zamiast zapraszać przedstawicieli akademii wszystkich krajów; 2) że robi się w łonie Federacji także i spotkania slawistów w Heidelbergu, a przecież prawdziwy zjazd tego typu uczonych jest do pomyślenia tylko w Moskwie (gdzie zresztą jeszcze w tym roku odbędzie się międzynarodowy kongres slawistów). Prezydium tłumaczyło się, że 1) członkowstwo w Federacji jest tylko indywidualne, więc nie może być przedstawicieli żadnych instytucji; 2) że każdy z badaczy literatury ma prawo należenia do związku, który sam sobie wybierze (względnie do obu równocześnie, lub nie należeć do żadnego).

Z niemałą troską omawiano również sprawę pisma organizacyjnego, czyli przeglądu slawistycznego, o którym się mówi i pisze już od lat kilku. Duszą tego przyszłego pisma jest prof. Marković. Wychodziłoby ono w Paryżu. Według jednego projektu w językach: francuskim, angielskim, niemieckim, włoskim, hiszpańskim i rosyjskim; według innego — tylko we francuskim. Najbliższa przyszłość pokaże, czy podstawy materialne przeglądu są proporcjonalne do zamierzonych wysiłków.

Na ogólnym zebraniu końcowym radzono nad tematem przyszłego kongresu oraz nad wyborem miejsca. Padł projekt: „Stosunki literackie między Wschodem a Zachodem". Uznano jednak ten temat za zbyt wąski, a więc ograniczający badawcze możliwości przyszłych referentów. Ostatecznie postanowiono, że VIII kongres filologów odbędzie się w roku 1960 w Leodium i będzie miał za hasło (niestety, przetłumaczyć się nie odważam): „La Science et la Littérature".

Edward Pomorski

*) Można by twierdzić, że nauka o stylu i formie jest częścią historii literatury. Jednakże jeden z prelegentów (i nie tylko on sam) zajął się badaniem stylu i formy rozporządzeń urzędowych i ogłoszeń, które przecież do literatury nie należą.

**) Słuchacze z zaciekawieniem słuchali wywodów, że od czasu romantyzmu literaturę japońską nurtują te same prądy, co i literatury europejskie.

SUKCES NIEDZIELSKIEGO

Uwielbiany przez publiczność angielską i międzynarodową polski wirtuoz Stanisław Niedzielski, odniósł ogromny jak zwykle sukces w dniu 26 września w londyńskiej sali koncertowej The Royal Festival Hall.

Koncert organizował Wilfrid van Wyck. Loże zapełnione, w sali publiczności po brzegi.

Tym razem, zamiast recitalu, S. Niedzielski grał trzy koncerty fortepianowe z towarzyszeniem orkiestry „Pro Arte" pod batutą świetnego szkockiego dyrygenta Charles Macherras.

W części pierwszej koncertu usłyszeliśmy dramatyczny utwór Addinsella: „Warsaw Concerto", skomponowany w Oksfordzie w roku 1941, na cześć bohaterskiej Warszawy, do filmu „Dangerous Moonlight", oraz pogodny, radosny Koncert Fortepianowy A-mol Griega z roku 1868, wykonany po raz pierwszy w Oslo, przez norweskiego pianistę Edmunda Neuperta.

Słuchając tego koncertu przypomniałem sobie powiedzenie Griega, iż „dopiero dzięki Chopinowi nauczył się tworzyć po norwesku i rozumieć muzykę swego ludu".

Stanisław Niedzielski charakterystycznie i barwnie odtworzył piękno ludowych motywów Koncertu A-mol, szczególnie zaś wesołe motywy tańców norweskich: „hallingu" i tańca wiosny.

Część drugą wieczoru symfonicznego poświęcono twórczości Chopina.

Usłyszenie najpiękniejszego w literaturze muzycznej świata Koncertu E-mol Chopina jest zawsze niezapomnianym przeżyciem. W interpretacji Niedzielskiego było coś niezwykłego: wyczuwało się, gdy grał, że ten tak bardzo zdolny pianista pragnie jak gdyby wyłączyć całą swoją osobowość w dążeniu do wiernego oddania myśli i uczuć kompozytora. Tylko wielkie rozmiłowanie w muzyce Chopina mogło stworzyć taką postawę. Niedzielski nie uronił nic z przejmującego i jedynego na świecie piękna tej muzyki, przekazał je nam w całości godnej podziwu. Wszystkie trzy tematy: „Allegro maestoso" a także melodie „Larghetto" przebrzmiały w skupionej ciszy. Nastrój publiczności pogłębił się jeszcze przy prześlicznych pianissimach Kanteleny. Cóż za świetna technika wirtuozowska! To pewne, że bardziej śpiewa ona niż błyszczy, nastroje emocjonalne nie giną w zawiłościach problemów technicznych. W koncertowej części III Koncertu E-mol, artysta uwydatnił pełne dowcipu i tanecznego temperamentu rytmy krakowiaka.



Stanisław Niedzielski

Orkiestra prowadzona przez młodego dyrygenta, Charles Macherras, towarzyszyła wirtuozowi z największą starannością w Koncercie E-mol Chopina.

Na zakończenie koncertu S. Niedzielski wykonał Scherzo Cis-mol op. 39 i Balladę As-dur op. 47 Chopina, a na bis pełnego wdzięku Menueta I. Paderewskiego oraz Walc Cis-mol i wreszcie Etiudę Rewolucyjną C-mol Chopina.

Szkoda, iż wśród natłoku słuchaczy różnych ras i narodowości była tylko znikoma ilość Polaków. Żałowałam zwłaszcza, że tak niewiele było na koncercie naszych młodych ludzi studiujących w angielskich collegiach i wyższych uczelniach. Ileżby wzruszeń dostarczyć mógł ten koncert, ile czystego mogli w nim znaleźć piękna i jakby mogli być dumni, że ta wspaniała, do głębi poruszająca muzyka jest zasługą polskiego kompozytora i polskiego pianisty.

S. Niekraszowa

ARCYBISKUP NIEZŁOMNY

Jest to streszczenie z przytoczeniem wyjątków tezy doktorskiej ogłoszonej w języku francuskim przez księdza Stanisława Jezierskiego na Uniwersytecie Gregoriańskim.*) Tematem jej jest spór w sprawie małżeństw mieszanych (katolicko-protestanckich), jaki w latach 1837-1841 doprowadził do ostrego konfliktu pomiędzy rządem Prus, a polskim arcybiskupem w Gnieźnie i Poznaniu, Marcinem Duninem.

Nawet ten duży skrót ponad 500 stron liczącego tomu daje nam pojęcie o wadze i wszechstronności studiów archiwalnych i innych, jakimi autor poprzedził opublikowanie tej pracy naukowej.

Poszczególne jej części omawiają: Zasady i przepisy kościelne dotyczące małżeństw mieszanych oraz ich stosowanie w stuleciach poprzednich; Sprawy małżeństw mieszanych w Polsce i w Prusach oraz początki konfliktów. Osobną część stanowi życiorys i opis działalności arcybiskupa Dunina oraz jego głośny list pasterski z 30 stycznia 1838 roku. Wezwanie ks. Dunina do Berlina i wyrok sądu pruskiego, skazujący go na więzienie i złożenie ze stolicy arcybiskupiej dają miarę brutalności zaborczego państwa w stosunku do katolików w Wielkopolsce. Dokumenty, które świadczą o absolutnym i skutecznym poparciu Stolicy Apostolskiej dla sprawy skazanego, jak również przykłady oburzenia opinii w innych krajach uwydatniają uniwersalne i europejskie tło konfliktu. Ostatnie rozdziały relacjonują ucieczkę arcybiskupa Dunina z aresztu domowego, w jakim trzymano go w Berlinie, aresztowanie przez policję w Poznaniu, więzienie w Kołobrzegu i wreszcie tryumfalny powrót do wiernej archidiecezji.

Układ streszczenia bardzo przejrzysty. Wśród ilustracji ciekawa mapa Wielkiego Księstwa Poznańskiego w dobie konfliktu.

*) **Ks. Stanisław Jezierski: LA CONTROVERSE DES MARIAGES MIXTES** survenue entre le Gouvernement Prussien et l'Archevêque Martin Dunin (1837-1841); stron 80, ilustracje; Rzym 1957; Pontificia Universitas Gregoriana.

ŻYCIE MIĘDZYNARODOWE

W KORZYSTNYM MOMENCIE

(Od własnego korespondenta z Berlina)

Dążenie do normalizacji stosunków z Polską, charakteryzujące politykę niemiecką ostatniego roku, przycichło nieco w czasie kampanii wyborczej. Koła uchodźców rozpętały w tym okresie szczególnie silną burzę rewizjonistyczną. Poważne koła polityczne nie dały się wprawdzie wciągnąć w tanią demagogię nacjonalistyczną, ale zachowywały w wypowiedziach swoich na tematy polskie znacznie większą powściągliwość aniżeli kilka miesięcy temu. W ostatnim tygodniu przedwyborczym groziło nawet poważne zaostrzenie stosunków polsko-niemieckich. Wypowiedzi Gomułki i Tity w Białogrodzie w sprawie nienaruszalności granicy polsko-niemieckiej, a potem wspólna ich deklaracja na ten temat, wywołały w kołach politycznych NRF burzę protestów. Kierowano je wprawdzie przede wszystkim przeciwko rządowi Jugosławii, ale — ton prasy niemieckiej wyraźnie mówił o tym, że deklaracja podpisana przez Gomułkę, zamyka drogę do jakiegokolwiek zbliżenia pomiędzy Polską a NRF. Rząd w Bonn zażądał wyjaśnień od rządu jugosłowiańskiego a ambasador niemiecki w Białogrodzie, Georg Pfleiderer, został „wezwany" — a nawet, jak głosiły niektóre notatki prasowe — „odwołany" do Bonn. Ważne, a w swoim rodzaju nawet sensacyjne, spotkanie Pfleiderera z ministrem spraw zagranicznym Rapackim i godzinna pomiędzy nimi rozmowa podchwycona została tylko przez niektórych komentatorów, a ci przycichli natychmiast po nadaniu rozgłosu deklaracji polsko - jugosłowiańskiej w sprawie granicy na Odrze i Nysie.

Silny ogień zaporowy nie zawsze jest jednak zapowiedzią skoncentrowanego ataku, nieraz służy on ku przygotowaniu gruntu do zamierzonego odwrotu. W dniu 15 września partia kanclerza odniosła — jak wiemy — zdecydowane zwycięstwo, zaś partia uchodźców poniosła klęskę. Posłowie skrajnie rewizjonistycznego BHE nie będą nadal zasiadywać w Bundestagu. Rząd odzyskał pełną swobodę działania i autorytet kanclerza, wzmocniony tak wielkim votum zaufania narodu, pozwala na odważniejsze podejście do sprawy, nazwanej przez Carlo Schmida rok temu „das verhängnisvolle polnische tabu" (nieszczęsnym polskim tabu). Skutki odzyskanej swobody działania nie kazały długo na siebie czekać. „Incydent" białogrodzki przestał już być tematem godnym rozważań prasowych. Koła oficjalne pospieszyły ze sprostowaniem, stwierdzając, że Pfleiderer nie został „odwołany" ani nawet „wezwany" do raportu, lecz jedynie „zaproszony" dla normalnej wymiany zdań pomiędzy ambasadorem i ministrem spraw zagranicznych.

Dokładnie w tydzień po wyborach kanclerz udzielił wywiadu telewizji amerykańskiej (Columbia Broadcasting System), którego główną treść stanowił problem stosunków polsko - niemieckich. Wywiad ten odbił się głośnym echem w całej prasie amerykańskiej i europejskiej. Treść jego jest przeto znana czytelnikom i nie potrzebuje być tutaj powtarzana. Na dwie sprawy poruszone w wywiadzie należałoby jednak zwrócić szczególną uwagę: na poruszenie przez kanclerza tzw. „prawa do ziemi ojczystej" (Recht auf Heimat) i na niedomówienia w udzielanych telewizji odpowiedziach.

Jedno z pytań, skierowanych pod adresem kanclerza, brzmiało: Co rozumie pan pod pojęciem „prawa do ziemi ojczystej"? Szef rządu w Bonn odpowiedział (cytuję według berlińskiego „Der Tagesspiegel" z 24. 9. 57): „Ludzie winni mieć możność powrotu do kraju, z którego zostali wypędzeni. I z tego powodu winno być prawo do ziemi ojczystej uznane". Kanclerz dodał następnie, że również nastąpić winna gospodarcza integracja z obszarami spornymi. „Gdy te dwie sprawy będą rozwiązane i gdy na skutek tego nastąpi bezwzględnie konieczne pomiędzy Polską i nami odprężenie, wówczas znajdzie się już jakieś rozwiązanie." Niczego nie należy — dodał kanclerz na zakończenie — w tej sprawie przepowiadać, tylko spokojnie i cierpliwie czekać na rozwój wydarzeń. — Istotna w oświadczeniu tym jest definicja prawa do ziemi ojczystej. Heimatrecht więc ogranicza się — według słów kanclerza — do prawa powrotu, uznanie i zastosowanie go nie jest równoznaczne z rewindykacją terytorialną. Wykładnia ta jest zgodna z interpretacją, jaką w długim teoretycznym artykule dał rok temu dr A. Boehm na łamach katolickiego tygodnika kolońskiego, „Rheinischer Merkur". (Vide korespondencja w ŻYCIU nr 44 z dnia 28 października 1956.)

Na dalsze zapytanie amerykańskiego rozmówcy, czy nowy rząd federalny nawiąże w najbliższym czasie stosunki dyplomatyczne z Warszawą, kanclerz — nawiązując do głosów oburzenia, jakie zaledwie dziesięć dni temu rozbrzmiewały w Bonn z powodu Gomułko - Titowskiej deklaracji w sprawie granicy — odpowiedział: „Die Erklärung Gomulkas würde mich da weiter nicht stören" (Oświadczenie Gomułki nie przeszkadzałoby mi w tym wypadku), ale dodał, że nie wie, czy przez dyplomatyczne uznanie bardziej się Gomułce nie zaszkodzi aniżeli pomoże. Trzeba będzie zacząć od nawiązania nasamprzód bliższych stosunków handlowych i gospodarczych, a potem trzeba będzie postępować powoli, krok za krokiem. A wreszcie, kiedy amerykański dziennikarz próbował uzyskać wyraźną odpowiedź, czy w wypadku, gdyby Polska ustosunkowała się pozytywnie do sugestii, zawartych w jego wypowiedziach, gotów byłby uznać Odrę i Nysę jako definitywną granicę polityczną Niemiec na wschodzie — Adenauer odmówił udzielenia odpowiedzi.

Wywiad oceniony został przez prasę niemiecką jako niezwykły i śmiały. Koła nacjonalistyczne i uchodźcze dały w najostrzejszych słowach upust swemu oburzeniu. Pomawiają kanclerza wyraźnie o skłonności rezygnacyjne i tę wypowiedź daną w tydzień po wyborach, nazywają niesłychaną zdradą zaufania, okazanego mu przez większość wyborców niemieckich. Prasa zagraniczna, np. angielski „Manchester Guardian", paryski „Le Monde", lub szwajcarska „Gazette de Lausanne" apelują do Adenauera, by uznał tę granicę. Niezwykły autorytet, jaki uzyskał w wyniku wyborów, pozwala mu w tym momencie bardziej aniżeli kiedykolwiek indziej narzucić społeczeństwu decyzję wprawdzie niepopularną, ale leżącą w interesie europejskiej i niemieckiej racji stanu, tak ważną dla narodu polskiego, i otwierającą nowe możliwości dla polityki rządu Gomułki. Przyjęcie, jakie kanclerz wydał kilka dni temu dla prasy zagranicznej w Bonn, wypełnione było niemal wyłącznie dyskusją na tematy polskie, w pierwszym rzędzie na temat granicy.

Sugestie kanclerza w cytowanym powyżej wywiadzie, w szczególności poglądy na temat integracji gospodarczej polskich Ziem Zachodnich i nadzieje na bezbolesne załatwienie sporu przez zastosowanie terapii „europejskiej" — są zbyt ogólne, by mogły stanowić realną podstawę dyskusji. Muszą one także budzić liczne wątpliwości w świetle ubocznych tendencji, ujawnianych niejednokrotnie w związku z „europejską" polityką Niemiec. (Vide np. korespondencje w nr 30 ŻYCIA z dnia 28 lipca br.) Słowa kanclerza są jednak dowodem, że sprawa uznania granicy dojrzewa coraz wyraźniej w umysłach trzeźwych polityków niemieckich. Wypowiedź Adenauera — mimo szeregu zastrzeżeń partykularnych — stanowi wyraźny krok naprzód w ewolucji poglądów Niemiec w stosunku do Polski. Brak odpowiedzi jego na niedwuznaczne pytanie co do ewentualnej gotowości uznania dzisiejszej granicy jako granicy definitywnej, potwierdza przypuszczenie, że sprawa ta — zdaniem jego — godna jest poważnego zastanowienia.

Niemiecka polityka wschodnia wkracza wyraźnie w okres aktywizacji. Dział Wschodni Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Bonn ma być rozbudowany. Wyrazić należy życzenie, by w skład jego weszli nowi ludzie, nie obarczeni polityką przeszłości. Przedwojenni eksperci niemieccy dla spraw polskich, czy zgoła przedwojenni działacze mniejszości niemieckiej w Polsce, nie byliby właściwymi ludźmi dla przygotowania posunięć, wymagających śmiałej decyzji i odważnego spojrzenia w przyszłość, chyba, że można w to uwierzyć, iż samokrytycyzm zaprowadził ich na drogę rozpoznania istotnych powodów walk i nieporozumień w przeszłości.

Droga do zjednoczenia Niemiec jest w dalszym ciągu długa i skomplikowana. Trzeba będzie pokonać na niej liczne jeszcze przeszkody i zakręty. Jedno jest pewne. Uznania Odry i Nysy nie da się na niej pominąć. Nie tylko z tego powodu, że postawa narodu naszego — w Kraju i na emigracji — jest pod tym względem niezmiennie nieugięta, ale — co jest ważniejsze z punktu interesu niemieckiego, że podtrzymywanie iluzji rewindykacyjnych uniemożliwia zjednoczenie Niemiec.

Kanclerz Adenauer staje przed koniecznością powzięcia decyzji o historycznym znaczeniu. Chwila dla powzięcia tej decyzji jest szczególnie korzystna teraz, po zwycięskich wyborach, gdy stanął u szczytu swych sukcesów politycznych, będących zarazem sukcesem pokonanych 12 lat temu Niemiec. Zdajemy sobie w pełni sprawę z tego, że jest to decyzja trudna i niepopularna. Ale wielkość męża stanu mierzy się częstokroć właśnie jego gotowością do podejmowania decyzji, idących pod prąd opinii publicznej, gdy jest do głębi przekonany, że decyzja ta leży w interesie kierowanego przez niego państwa. Uznanie granicy leży w interesie wolności całej Europy i tym samym także w interesie Niemiec, nie mówiąc już o Polsce. Kanclerz Adenauer jest fanatycznym rzecznikiem zjednoczenia Europy. Uznanie granicy przyspiesza to zjednoczenie. Granica na Odrze i jącymi z sobą narodami, może — obok po- Nysie pomiędzy obu, od tysiąca lat sąsiadurozumienia niemiecko-francuskiego — odegrać rolę filara, podtrzymującego sklepienie pojednanej Europy.

St. Czechanowski

SOWIETY I RAKIETA MIĘDZYKONTYNENTALNA

Dnia 17 kwietnia 1947 roku zebrała się w Moskwie pod przewodnictwem Stalina sowiecka rada ministrów. Obecni byli Mołotow, Malenkow, Żdanow, Beria, Mikojan i Woroszyłow, a przedmiotem obrad miało być sprawozdanie płk. G. A. Tokajewa, kierownika Laboratorium Aerodynamicznego moskiewskiej Akademii Wojennej, o zdobytym przez wojska sowieckie, po ich wkroczeniu do Niemiec, projekcie rakiety międzykontynentalnej, opracowanym przez uczonego niemieckiego dr. Eugeniusza Sängera i jego współpracowniczkę dr Irenę Bredt.

Tajemnica wielkiej wagi. Projekt ten został jako komunikat nr 3583 Niemieckiego Zakładu Badań „Ernst Udet" rozdzielony między 71 osób, zajmujących kompetentne stanowiska w urzędach wojskowych i wśród specjalistów techniczno-naukowych Trzeciej Rzeszy. Był on ściśle tajny, stanowiąc tzw. Geheime Kommandosache, tajemnica więc jego była chroniona przez par. 88 kodeksu karnego Rzeszy. Tekst jego obejmował 376 stron z 110 ilustracjami.

Mimo tej tajności — jak czytamy w artykule A. Bärwolfa, w hamburskim dzienniku „Die Welt" — jeden jego egzemplarz dostał się w ręce Stalina. Naczelne czynniki sowieckie wiedziały widocznie dobrze o jego istnieniu, skoro wchodzące do pokonanych Niemiec dywizje sowieckie otrzymały rozkaz wyszukania projektu Sängera. W przeciwieństwie do Hitlera bolszewicy od początku przywiązywali do niego wielką wagę, widząc w nim swoją doniosłą szansę na przyszłość.

Sänger miał być sprowadzony do Moskwy. Taka była geneza sprawozdania, złożonego sowieckiej radzie ministrów przez płk. Tokajewa. Powiedział on zebranym dygnitarzom, że Sänger jest znakomitym teoretykiem w zakresie napędów rakietowych i że plany jego wyprzedzają prace uczonych sowieckich w tej dziedzinie o całe lata. Tegoż dnia, 17 kwietnia 1947, Stalin podpisał uchwałę rady ministrów, iż należy całą siłą dążyć do realizacji projektu Sängera. Tokajew otrzymał zlecenie sprowadzenia Sängera do Moskwy.

Tokajew wszakże nie znalazł Sängera. Został on na Zachodzie i napisał książkę „Stalin Means War" (wyd. Gutenberga w Londynie), w której opisał szczegóły wielkiego zainteresowania Kremla projektem Sängera i podkreślił, że kierownictwo wojskowo - polityczne Sowietów bardzo już wcześnie pojęło epokowe znaczenie pocisków kierowanych. Zdaniem autora artykułu „Die Welt", jest rzeczą prawdopodobną, że Sowietom udało się pomysł rakiety pól-batalistycznej z zasięgiem globowym zamienić w fakt.

Atak na Nowy Jork. Bärwolf opisuje swą niedawną wizytę u autora projektu, dr. Sängera, człowieka lat pięćdziesięciu kilku, który złożony chorobą serca przebywa obecnie w szpitalu w miejscowości Leonberg koło Stuttgartu. Autor artykułu odbył z nim rozmowę i zapoznał się z treścią projektu.

„Otwieram druk na stronie 322 — pisze on — którą Stalin specjalnie musiał się zainteresować: jest tu podany w drodze przykładu atak płaszczyznowy na Nowy Jork na odległość 6.500 kilometrów, z sześciotonowym ładunkiem bomb. Pojedyńczy lot ma mniej więcej następujący przebieg: W 36 sekund po starcie i na 12 kilometrów długości od punktu startu motor poczyna pracować i zużywa cały zapas paliwa napędowego w następnych 336 sekundach. Z tą chwilą bombowiec rakietowy uzyskuje chyżość lotu, wynoszącą 6.370 metrów na sekundę (około 23.000 km na godzinę). Osiąga on wysokość lotu, wynoszącą 91 kilometrów, odległość od miejsca startu 736 km i wagę w locie wynoszącą 16 ton. Później bombowiec rakietowy leci posługując się wyłącznie swą energią ruchu aż do miejsca zrzucenia bomby. W tym miejscu, które osiągnięte zostaje w 1.150 sekundach po starcie, chyżość lotu zmniejsza się na okrągłe 6.000 metrów na sekundę, o wysokość lotu na 50 kilometrów. Teraz następuje zrzucenie bomby. Łącznie z powrotem bombowca rakietowego cały atak trwać będzie 4.755 sekund."

Nieco dalej omówiony jest atak bombowca rakietowego na dalsze jeszcze odległości; w myśl koncepcji dr. Sängera może on z ładunkiem bomb o wadze 3 ton osiągnąć każdy dowolny punkt powierzchni ziemi i może przelecieć bez konieczności lądowania 40.000 kilometrów, a więc cały obwód ziemi. Jako przykład przytoczony jest w projekcie atak na miasto Sydney w Australii, będące najdalej od Niemiec położonym milionowym skupieniem ludzkim.

Do czego doszli Rosjanie? Bärwolf wyraża przypuszczenie, że Rosjanie zdołali wyprodukować pocisk międzykontynentalny, przyjmując za podstawę właśnie projekt Sängera. Zdaniem jego pewne oznaki, przede wszystkim podany zasięg, przemawiają za tym, że chodzi tu raczej o T4A, rosyjską wersję pomysłów Sängera, niż o czysto balistyczny pocisk T3. Sowiety — twierdzi on — zawsze robiły niespodziankę tempem swych osiągnięć. Tak było z bombą uranową i także z bombą wodorową i napędem turbin. Dlatego nie jest rzeczą wyłączoną, że opanowali oni także tę dziedzinę.

Wbrew tym przypuszczeniom Bärwolfa poważne czynniki amerykańskie wyrażają silne powątpiewanie, czy istotnie Sowietom udało się już wyprodukować pocisk międzykontynentalny.

Świadczyłby o tym przytoczony przez Bärwolfa fakt, że prof. Wernher von Braun, dzisiaj wraz z prof. Messerschmidtem, ekspert amerykański dla spraw rakiet wodorowych, który wedle podanego rozdzielnika otrzymał swego czasu egzemplarz memoriału Sängera, musiał się do tego czasu zajmować dużo mniejszymi projektami tegoż Sängera, a nie pociskami pół-batalistycznymi.

Czy jest obrona przeciw pociskom kontynentalnym? W chwili obecnej — stwierdza autor artykułu — nie istnieje obrona przeciw pociskom międzykontynetalnym. Jeśli tylko lecą we właściwym kierunku, uderzają tam, gdzie zamierzone. Ich siła niszcząca powiększona została przez ogromne działanie eksplozji atomowej.

Pocisk balistyczny nie jest bronią ostateczną. Ponieważ nie może on zmienić toru swego lotu, będzie rzeczą możliwą w ciągu dziesięciu najbliższych lat skonstruować urządzenia obronne. Za to pocisk pół-balistyczny idzie o krok dalej. Ma on szanse dzięki swej ruchliwości uchylić się od działania „rakiety antyrakietowej".

ROZPOWSZECHNIAJ
WŚRÓD
SWYCH
ZNAJOMYCH »ŻYCIE«

FRANCJA NA ŚLEPYM TORZE

Upadek rządu premiera Bourgès-Maunoury jest zarazem klęską pierwszej próby rozwiązania sprawy algerskiej nie na zasadzie systemu kolonialnego, ale zgodnego współżycia równouprawnionej ludności arabskiej i francuskiej.

Przeciw projektowi tzw. „ustawy ramowej" i rządowi głosowała prawica, komuniści, pużadyści i spora grupa radykałów z centrum, popierającego w zasadzie rząd. Do końca bronili projektu, pomimo wielu niedoskonałości i kompromisów, postępowi katolicy z MRP i socjaliści.

„Ustawa ramowa" opierała się na trzech zasadach: że Algeria jest nierozłącznie związana z Francją; że arabska ludność winna, na równi z ludnością francuską, być otoczona opieką; że nic w Algerii nie powinno się dziać bez udziału przedstawicieli ludności miejscowej. Jak z zasad tych wynika, mowy nie było o niepodległości, natomiast projektowany ustrój miał zapewnić możliwie daleko idący samorząd z założeniem dalszego jego rozwoju, do całkowitej autonomii włącznie.

Kraj miał zostać podzielony na sześć obszarów autonomicznych, a w każdym z nich odbyłyby się niezwłocznie wybory powszechne, równe i tajne do Zgromadzeń Ustawodawczych, z udziałem wszystkich, Francuzów i Arabów; „parlamenty" regionalne wyłoniłyby w wyborach pośrednich Federalne Zgromadzenie Ustawodawcze dla całego kraju. Przed tym Zgromadzeniem odpowiedzialny organ wykonawczy sprawowałby rządy, z tym, że sprawy obrony, polityki zagranicznej i finansów byłyby zastrzeżone co do zasadniczych decyzji dla rządu francuskiego w Paryżu. Jednak z chwilą powołania Federalnego Zgromadzenia Ustawodawczego, co mogłoby nastąpić dopiero po uspokojeniu kraju, zakres autonomii Algerii byłby ponownie przedmiotem rokowań.

Przewidywany podział na obszary autonomiczne miałby zapewnić, że w dwu obszarach przeważałaby ludność francuska, w czterech natomiast ludność arabska.

Projekt nie mógł oczywiście zaspokoić aspiracji niepodległościowców algerskich. Został natychmiast odrzucony i przez partyzantów i przez przebywającego na wygnaniu w Szwajcarii przywódcę FLN (Front Narodowego Wyzwolenia), Fezhat Abbasa. Stanowił on jednak znaczny postęp w stosunku do stanu dotychczasowego i wśród przeciwników ekstremistycznych nacjonalistów, zwolenników wojny, oraz wśród przeciwników komunizmu sprzymierzonego z nacjonalistami, zyskał sporo zwolenników. Niestety, projekt ten został uznany za nie nadający się do przyjęcia także przez francuskich nacjonalistów w Algerii i w metropolii; przeciwnicy reform dopatrywali się w równouprawnieniu politycznym Arabów i w przewidywanych etapach autonomii — ewolucji ku niepodległości kraju. — Naciski przeciwników doprowadziły do dalszych ustępstw rządu, który — niepotrzebnie, bo projektu nie uratował — odsunął terminy powołania Federalnego Zgromadzenia i wycofał się ze stanowiska równouprawnienia wyborczego.

Upadek projektu i rządu wprowadza politykę francuską na ślepy tor Za słaba, by siłą narzucić uległość, Francja zrezygnowała z zasad, które głosi, a których szybka realizacja mogłaby jedynie rozwiązać problem. Francja utraci resztę zaufania u ludności arabskiej, staje w rzędzie oskarżonych o imperializm i kolonializm, daje nowy atut w ręce propagandy i polityki sowieckiej i zawodzi przyjaciół wolności w świecie.

LUDZIE I ZDARZENIA

Prof. Gyula Germanus, wykładowca języków wschodnich na uniwersytecie w Budapeszcie zyskał sobie w międzynarodowych kołach ekspertów od spraw Środkowego Wschodu przydomek „czerwonego Lavrancea". On to bowiem jest najbardziej słuchanym z doradców politycznych państw bloku komunistycznego w sprawach arabskich. Trzeba przyznać, że zagadkowy węgierski profesor posiada do tej pory niezwykłe kwalifikacje: zna od wczesnej młodości 18 języków Małej Azji i rejonów okolicznych; jego znajomość Islamu, który przyjął jako własną religię, wraz z imieniem Abdul Karim, nie ma jakoby równej w Europie; już przed 20 laty otrzymał on w Mecce tytuł „hadżi", którym zaszczycono przed nim tylko jednego Europejczyka. Hadżi Karim napisał ponad 50 prac naukowych na tematy wschodnie, a ostatnio — w chwilach wolnych od zajęć natury politycznej — pracuje nad monumentalną historią literatury arabskiej od czasów podboju Egiptu". Zbieg okoliczności: prof. Germanus(!), podobnie jak dziwny pułkownik Lawrance, jest bardzo niewielkiego wzrostu.

✱

Roger Riviere, tegoroczna rewelacja francuskiego kolarstwa, pobił ostatnio jeden z najcięższych rekordów w tej dziedzinie. Przebył on, na welodromie Vigorelli pod Mediolanem, przestrzeń 46 kilometrów, 923 m w przeciągu 60 minut. Wyczynowi temu przyglądał się m. in. z entuzjazmem niedawny, i zdawałoby się niedościgły, champion włoski, Fausto Coppi. Sam Riviere, u którego lekarze stwierdzili, gdy zsiadł z roweru, zaledwie lekkie przyspieszenie tętna, był wyraźnie zawiedziony, że nie osiągnął wyniku 47 kilometrów w ciągu godziny.

✱

Książę Aleksander, najstarszy z dzieci króla Leopolda belgijskiego i jego drugiej żony, księżny Rethy, przechodził w połowie września poważną operację serca. Urodzony w roku 1942 pod okupacją niemiecką, a następnie wywieziony wraz z całą rodziną królewską w głąb Rzeszy, 15-letni dziś książę zaczął zdradzać przed kilku miesiącami objawy niedomogi serca i zaburzeń ciśnienia. Badania kliniczne, przeprowadzane w Europie, a następnie w Stanach Zjednoczonych wykazały organiczne zwężenie aorty, przy czym amerykańscy specjaliści przewidywali dalsze pogarszanie się stanu chorego. W tych warunkach zdecydowano się na żmudny, choć już wypróbowany, zabieg chirurgiczny. Podjął się go znakomity chirurg szpitala państwowego w Bostonie, dr Robert E. Gross. Operacji dokonano przy zastosowaniu hibernacji i przy wyłączeniu na kilka minut aorty z obiegu krwi. Na prośbę króla Leopolda arcybiskup Bostonu odprawił w sąsiedniej sali Mszę św. Operacja — 501-szy tego rodzaju zabieg dokonany przez dr. Grossa — trwała 5 godzin i zakończona została pomyślnie. (Zdjęcie, które reprodukujemy dokonano w ogrodach pałacu królewskiego Laaken pod Brukselą. Podano je do prasy z okazji pierwszej rocznicy urodzin najmłodszej z rodzeństwa, księżniczki Esmeraldy sfotografowanej ze starszą siostrą i księciem Aleksandrem w przede dniu jego wyjazdu do Ameryki.)



✱

Charles Laughton, jeden z najwybitniejszych aktorów charakterystycznych świata anglosaskiego, przybył przed kilku dniami do rodzinnej Anglii po wieloletnim pobycie w Stanach Zjednoczonych. W dniu 1 października wystąpił on po raz pierwszy w ramach programu telewizji brytyjskiej pt. „Chelsea o 9-tej". Z pośród wielkich, niezapomnianych ról Laughtona wymienić można filmowe wcielenie Henryka VIII, postać kapitana „buntowniczego okrętu „Bounty" oraz — już po wojnie — sylwetkę komisarza Maigret w amerykańskim filmie opartym na powieści Simenona. (Na fotografii poniżej Laughton odpowiada na, niedyskretne zapewne, pytania dziennikarzy w czasie powitalnego przyjęcia dla prasy.)



Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W.2. Tel.: PAD 9774.